



BEZPŁATNY KWARTALNIK

NR **4**

---

LATO  
2018







## Szanowni Państwo

Zarząd KOM-EKO S.A. składa Państwu serdeczne podziękowania za lata sumiennej i rzetelnej pracy, zaangażowanie w rozwój naszej Firmy, lojalność i uczciwość. Życzymy by nasza dalsza wspólna praca była dla Państwa źródłem satysfakcji i sukcesów.

Nasze życzenia składamy w szczególności świętującym w drugim kwartale 2018 roku jubileusze:

### 10-lecie

pracy w KOM-EKO:

Anna Parđa-Gil, Mariusz Zaręba

### 15-lecie

pracy w KOM-EKO:

Adam Dudek, Andrzej Kędzierski,  
Włodzimierz Kołodziej,  
Grzegorz Mordel, Jarosław Remisz,  
Sławomir Włodarczyk

### 20-lecie

pracy w KOM-EKO:

Marek Furmanowicz, Karol Kowalik

## Szanowni Czytelnicy!

Oddajemy w Państwa ręce czwarty numer EKOgadki. Numer letni, a więc też wakacyjny. Mamy nadzieję, że jego lektura umili Państwu wolne chwile. Przyprawi o uśmiech, czasem zmusi do zadumy, a czasem zaskoczy. Czyż nie intrygująco brzmi wyznanie uznanego i popularnego autora powieści kryminalnych, iż zagadka nie jest w nich wcale najważniejsza?

Odkryjemy przed Państwem tajemnicę pewnej lubelskiej kamienicy, której historia splótła się z losami dwóch słynnych ludzi pióra. Snute przez nas opowieści o przyrodzie powiodą nas aż... pod obiektyw mikroskopu elektronowego...

Dziękujemy za pozytywne opinie, które docierając do nas dopingują do poszukiwania nowych, interesujących tematów. Niezmiennie zapraszamy do podzielenia się swoimi zainteresowaniami i pasjami, a tym samym do aktywnego współtworzenia naszego pisma.

**Zarząd Kom-Eko S.A.**

	<b>Ssaki leśne str. 38</b>	<b>POLECAMY:</b>
		WYWIAD 26
		ŚWIAT MIKRO 44
		FELIETON 54
		ANEGDOTY 67



## Kalendarium Kom-Eko

Minione tygodnie to przede wszystkim ogrom codziennej, efektywnej, choć nie zawsze efektownej pracy, ale również kilka wartych przypomnienia zdarzeń:

- 14 marca 2018** Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego nadał KOM-EKO S.A. numer 000000786 w bazie danych o produktach i opakowaniach oraz o gospodarce odpadami.
- marzec – czerwiec 2018** Zakład Robót Drogowych KOM-EKO wspomaga specjalistycznym sprzętem przygotowania toru żużlowego przy Al. Zyguntowskich w Lublinie przed meczami Speed Car Motor Lublin.
- kwiecień 2018** W dwumiesięczniku branżowym „Technika Komunalna” (nr 2/2018) ukazał się artykuł pt. „KOM-EKO S.A. – organiczny rozwój i nowe technologie”.
- kwiecień 2018** Zakup na potrzeby Zakładu Wywozu Odpadów śmieciarki do odbioru odpadów wielkogabarytowych na podwoziu MAN TG 28.400.
- kwiecień 2018** W dwumiesięczniku branżowym „Pośrednik Komunalny (nr2/2018) ukazał się artykuł o KOM-EKO pt. „Od konnego wozu po mobilny rozdrabniacz”.
- 11 maja 2018** Na zaproszenie Dyrekcji i Społeczności Szkoły Podstawowej nr 48 im. Józefa Piłsudskiego w Lublinie gościliśmy w dniu 11 maja 2018 roku na uroczystościach Święta Szkoły połączonych z jubileuszem 90-lecia.
- 3 czerwca 2018** Wsparcie dla akcji Motocyklowy Dzień Dziecka, w ramach której lubelscy motocykliści dostarczyli prezenty dla dzieci przebywających w lubelskich szpitalach i domach dziecka.
- 2-3 czerwca 2018** Zabezpieczamy utrzymanie czystości podczas Nocy Kultury w Lublinie.
- 16 czerwca 2018** Wspieramy organizację Rodzinnego Festynu Parafialnego „Wspólnota to Ty i ja” przy Parafii Rzymskokatolickiej Niepokalanego Serca Maryi i św. Franciszka w Lublinie.
- 18 czerwca 2018** Rozstrzygnięcie przez Urząd Miasta Lublin postępowania przetargowego na odbiór i zagospodarowanie odpadów z terenu miasta Lublin w okresie od 1 lipca 2018 roku do 30 czerwca 2021 roku. Oferta KOM-EKO została uznana za najkorzystniejszą w rejonach I, II i VI.



## Nowa linia sortownicza odpadów budowlanych

ADAM PRYZSTUPA

**R**osnący z roku na rok strumień odpadów remontowych i budowlanych skłonił KOM-EKO do inwestycji w mobilną, wolno stojącą linię sortowniczą. Nie sposób efektywnie zagospodarować odpady remontowe bez poddania ich procesom sortowania, w których gruz ceglany i betonowy zostanie oczyszczony z odpadów złomu i wszelkich innych frakcji takich jak drewno, ceramika czy tworzywa sztuczne.

Zaprojektowana przez KOM-EKO linia sortownicza, umożliwi przesortowanie 10 000 Mg odpadów remontowych. Wysortowane odpady gruzu, podobnie jak złom kierowane są do recyklerów. Pozostałe odpady są kierowane do dalszego przetworzenia w kierunku wytworzenia paliwa alternatywnego RDF w instalacjach funkcjonujących na terenie Zakładu Zagospodarowania Odpadów KOM-EKO.

## Nowy sposób na ssssprzątanie

Pomysłowość ludzka nie zna granic. Od kiedy u progu XIX stulecia wynaleziono pierwszy na świecie odkurzacz, zwykliśmy je stosować do oczyszczania domów, biur i wszelkich pomieszczeń. Tymczasem z wiosną tego roku na placach i chodnikach Lublina pojawił się zakupiony przez KOM-EKO odkurzacz do sprzątania terenów zewnętrznych.

Mobilny odkurzacz Glutton dokładnie sprząta wszelkiego rodzaju odpady (np. szkło, papier, metale, plastiki, liście) o średnicy do 12,5 cm. Niewielkie rozmiary sprzętu pozwalają na jego zastosowanie w miejscach, gdzie niemożliwe jest użycie innych samojezdnych urządzeń czyszczących. Napędzany elektrycznie odkurzacz jest ergonomiczny, łatwy w obsłudze, cichy oraz bezpylny.







# Jubileusz Szkoły

ADAM PRZYSTUPA

## Nowy system segregacji

Z pierwszym dniem lipca zaczął obowiązywać w Lublinie nowy model segregacji odpadów.

**Przypomnijmy kilka podstawowych zasad:**

- do pojemnika w kolorze niebieskim – wrzucamy odpady papieru i tektury
- do pojemnika w kolorze zielonym – wrzucamy odpady ze szkła
- do pojemnika w kolorze żółtym – wrzucamy odpady z tworzyw sztucznych, metali oraz opakowania wielomateriałowe
- do pojemnika w kolorze brązowym – wrzucamy bioodpady, a w szczególności odpadki warzywne i owocowe, obierki, fusy oraz resztki żywności
- pozostałe niesegregowane (zmieszane) odpady komunalne wrzucamy do oddzielnego pojemnika w innym kolorze

**Poniżej prezentujemy tabelę przysługującą z dniem 1 lipca 2018 roku mieszkańcom Lublina częstotliwości odbioru poszczególnych rodzajów odpadów:**

Rodzaj odpadu	Kolor pojemnika lub worka	Częstotliwość odbioru z zabudowy:	
		jednorodzinnej	wielorodzinnej
Papier i tektura	niebieski	Co najmniej raz na miesiąc	Co najmniej raz na tydzień
Szkło	zielony	Co najmniej raz na miesiąc	Co najmniej raz na miesiąc
Tworzywa sztuczne i metale	żółty	Co najmniej raz na dwa tygodnie	Co najmniej raz na tydzień
Bioodpady	brązowy	Co najmniej raz na tydzień	Co najmniej raz na tydzień
Odpady zmieszane	-	Co najmniej raz na dwa tygodnie	Co najmniej raz na tydzień
Odpady zielone	-	Co najmniej raz na dwa tygodnie (w okresie grudzień – marzec: na zgłoszenie)	Na zgłoszenie, co najmniej cztery razy w roku
Odpady wielkogabarytowe	-	Na zgłoszenie, raz na dwa miesiące	Na zgłoszenie, dwa razy w miesiącu
Odpady budowlane	-	Na zgłoszenie, dwa razy w roku	Na zgłoszenie, cztery razy w roku

**N**a zaproszenie Dyrekcji i Społeczności Szkoły Podstawowej nr 48 im. Józefa Piłsudskiego w Lublinie gościliśmy w dniu 11 maja 2018 roku na uroczystościach Święta Szkoły połączonych z jubileuszem 90-lecia.

Malowniczo położona przy ul. Kasprowicza szkoła, jest jedną z najstarszych istniejących placówek oświatowych w Lublinie. Poświęcenie kamienia węgielnego szkoły, zlokalizowanej jeszcze wówczas w gminie Wólka, odbyło się 30 października 1928 roku. W dniu 12 października 1935 roku szkole nadano nazwę „7-klasowej Publicznej Szkoły Powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Wólce”. Z początkiem 1990 roku szkoła została włączona w obręb administracyjny Lublina.

Uroczystość, która zgromadziła grono znanych gości była okazją do wspomnień, podziękowań i serdecznych życzeń składanych na ręce pani Dyrektorki Henryki Olszak. Wszystkich zachwycała część artystyczna imprezy przygotowana przez uczniów i grono pedagogiczne „szacownej Jubilatki”

Z okazji pięknego jubileuszu, firma KOM-EKO, jako honorowy patron i przyjaciel szkoły przekazała reprint pochodzącej z 1928 roku pierwszej szkolnej kroniki oraz trzy rowery, które służyć będą uczniom podczas zajęć.



FOTO: Redakcja





# W stałej gotowości

O pracy Zakładu Zaplecza Technicznego rozmawiamy z jego kierownikiem Andrzejem Jankowskim.

## Czym zajmuje się Zakład Zaplecza Technicznego?

Zakład Zaplecza Technicznego zajmuje się naprawami samochodów, malowaniem, naprawami kontenerów. Pracujemy przede wszystkim na rzecz Zakładu Wywozu Odpadów, ale wspomagamy też Zakład Robót Drogowych, Zakład Oczyszczania i Zakład Zagospodarowania Odpadów.

## Ilu ludzi jest zaangażowanych w utrzymanie ruchu?

O tabor składający się z 97 jeżdżących jednostek dba 10 ludzi. Mówimy o całym sprzęcie, a więc śmieciarki, zamiatarki, sprzęt drogowy, ładowarki. Staramy się wykonywać własnymi siłami około 90% koniecznych prac. W zakresie pozostałych wspomagamy się na zewnątrz. Samochody mają dokonywane przeglądy wg kontrolek obsługa, każdy samochód ma przegląd OT1 co 3000 km, co 12000 jest OT2, to jest wymagane i przestrzegane przez wszystkich. Pracujemy na dwie zmiany. Pierwsza zmiana od godziny 6 do 14, druga od 13 do 21. W okresie zimowym, kiedy KOM-EKO świadczy usługę odśnieżania obowiązują dwunastogodzinne dyżury. Przez cały czas, 24 godziny na dobę, w dni powszednie i święta, jest ktoś na dyżurze, na telefonie i pozostaje w gotowości. Na co dzień, gdy mamy sygnał o awarii, na jej miejsce jedzie dwójka ludzi wyposażonych w niezbędne narzędzia i części zapasowe, tak by na miejscu sprawić, że samochód zjedzie na bazę. Czas reakcji jest bardzo krótki. W każdym samochodzie jest łączność radiowa, więc kontakt kierowców z warsztatem jest w zasadzie na bieżąco. Jest zgłoszenie, jest wyjazd i staramy się od ręki zaradzić awarii. Naprawy i przeglądy wykonywane są w warsztatach na ul. Wojennej.

## Jeżeli chodzi o ich wyposażenie....

Mamy 3 stanowiska kanałowe do obsługi pojazdów, jest akumulatorownia, zespołownia wyposażona w tokarnie czy zakuwarkę przewodów hydraulicznych. W skład zaplecza technicznego



FOTO: Redakcja

wchodzi również lakiernia i spawalnia, w której wykonywane są prace ślusarsko-spawalnice.

## Muszę przyznać, że na każdym duże wrażenie robi panujący tam porządek.

To prawda, jest duża dbałość o porządek i czystość na stanowiskach pracy. Efektywniej i przyjemniej się pracuje, jeżeli jest czysto. Pracownicy otrzymali dobrze wyposażone miejsca pracy i dbają o to, co mają. To jest pochodną stażu pracy, ale i pewnego stylu, które wprowadził jeszcze w okresie swojej pracy wieloletni kierownik Zakładu pan Zbigniew Pastuszek. Bardzo o to dbał i bardzo wiele wymagał. Zawsze przywiązywał dużą uwagę do wyglądu, estetyki warsztatów i całego otoczenia. Był bardzo dokładny, dobrze zorganizowany.

## Pracujesz w KOM-EKO już...

Dwadzieścia jeden lat.

Masz więc już ogląd jak zmienia się sprzęt, który serwisujecie.

Na samym początku, w połowie lat dziewięćdziesiątych pracowaliśmy na Liazach i Multicarach, potem około 2001 roku pojawiły się Kamazy. Samochody bardziej ekonomiczne o prostej, ale mało awaryjnej zabudowie bębnowej z wrocławskiego Presko. Byliśmy w tym względzie wyjątkiem w branży, ale trzeba powiedzieć, że zdały egzamin. Potem użytkowaliśmy Many. Dziś w większości nasze śmieciarki są na podwoziach Volvo. Przede wszystkim na zabudowach Ekocel,

choć mamy też kilka z Wuko. To już jest nowsza generacja samochodów, są wygodniejsze, bardziej ergonomiczne dla kierowcy. Bardziej pojemne i co ważne mniej awaryjne.

## Czy praca ze sprzętem specjalistycznym jest specyficzna?

Samochody są coraz trudniejsze w naprawie. Duża rola hydrauliki, coraz więcej elektroniki. Mamy na wyposażeniu komputer, który pomaga nam diagnozować samochody. Ale nasz główny atut to ludzie, ich doświadczenie i znajomość tych pojazdów. Czasami zdarza się, że samochód jeszcze nie zjedzie a wiadomo, co się z nim stało. Znając te samochody, ich mocne i słabe strony nasi pracownicy są w stanie przewidzieć, co mogło się stać, czego się można spodziewać, w jakim zakresie będzie naprawa i ile czasu potrwa. Poza tym jest stała wymiana informacji z kierowcami. Z resztą, czasami wystarczy sam kontakt przez radio by pomóc kierowcy, czasami nie musimy nawet wyjeżdżać z Wojennej.



## Swego czasu opiekowaliście się również nietypowymi pojazdami wchodzącymi w skład floty KOM-EKO...

W barwach KOM-EKO dawno temu jeździł GAZ-69, jakiś czas potem pojawił się kultowy Citroen 2CV, potem Mercedes „Ponton”. To były pojazdy reprezentacyjne, wykorzystywane w działaniach promocyjnych. Citroen 2CV, rocznik 1980 towarzyszył po roku 2000 pierwszym próbom selektywnej zbiórki odpadów. Jeździł z takim charakterystycznym logo ze sloganem „Czysty Lublin w naszych rękach”. Dobry do jazdy, choć niedoświadczonych kierowców mogła zaskoczyć dźwignia zmiany biegów umieszczona przy kierownicy. Nie był awaryjny, ale trzeba było delikatnie się z nim obchodzić.

## Drugim obok pojazdów przedmiotem waszego zainteresowania są pojemniki.

Zajmujemy się remontem pojemników i kontenerów, zwłaszcza osiatkowanych pojemników do zbiórki selektywnej, które niestety często są palone. Bardzo ciężko jest przywrócić do życia taki pojemnik. Oprócz remontów zdarzało się nam również samodzielnie wykonywać nowe pojemniki. Zbudowaliśmy własnymi siłami specjalistyczny kontener do zbiórki przeterminowanych odpadów zielonych wyposażony w specjalny opróżniany okresowo odstojnik na odcieki. Wykonywaliśmy też osiatkowane pojemniki wykorzystywane przy liniach sortowniczych na Zakładzie Zagospodarowania Odpadów. W okresie, gdy obsługiwaliśmy giełdę rolno-spożywczą w Elizówce zbudowaliśmy elektrycznie sterowaną, wyposażoną w pompę hydrauliczną wywrotnicę do ciężkich pojemników na odpady zielone. Był też czas, kiedy na zamówienie wykonywaliśmy altanki śmietnikowe. Lekkie konstrukcje z blachy ocynkowanej, składane na miejscu u klienta, kotwione do powierzchni placu. W różnych rozmiarach: na cztery pojemniki 1100, na sześć pojemników, a nawet duże na osiem.

## Mało, kto wie, że pojazd konny, który służy do oczyszczania lubelskiej starówki, w dużej części powstał siłami waszego Zakładu.

Budowaliśmy, od podstaw naszą „bryczkę”. W zasadzie poza okuciami i elementami dekoracyjnymi cała reszta była wykonywana na Wojennej. Metodą prób i błędów. Koła i dysze na zamówienie KOM-EKO wykonała renomowana firma pana Mikołaja Bogajewicza z Pniew pod Poznaniem. Byłem u niego w fabryce, wiedziałem jak produkuje się na zamówienie bryczki czy powozy, które wędrują nawet do Anglii. Byłem pod dużym wrażeniem. Bardzo miły, koleżeński, służący radą człowiek. Rodzinna firma, piękne konie. Niestety naszej „bryczki” nie miał okazji oglądać na żywo, tylko na zdjęciach.

## Plany na przyszłość?

W planach mamy zakup samochodów napędzanych gazem CNG na podwoziu SCANIA. Ta firma przoduje w produkcji takich ekologicznych pojazdów. Wydzielają mniej spalin, są cichsze. Równie ważny jest niższy koszt paliwa. Zamówione są dwie sztuki. W Lublinie zjawią się na początku sierpnia.



EKOTEMATY DR ADAM LESIUK

# Mała sprawa, a duży problem – Mikroplastik

Narażone na mikroplastik jest zarówno środowisko lądowe jak i wodne.

**N**areszcie przyszyły wyczekane wakacje, wiele osób marzy o spędzaniu urlopu w ciszy, przy odgłosach przyrody i z dala od cywilizacji. Jednak nie jest to takie proste i obawiam się, że gdziekolwiek nie będziemy to będzie jednak towarzyszył nam ON - Mikroplastik. Niby mało widoczny, a jednak obecny wszędzie... w wodzie, glebie, na plaży, w lesie... i w różnej postaci, włókna, małej cząstki, kulki. Wystarczy tylko dobrze rozejrzeć się, a go znajdziemy i mocno zdziwimy tym wszechobecnym symbolem cywilizacji. Ostatnio znaleziono go również w wodzie pitnej sprzedawanej w sklepach.

A wszystko zaczęło się od niewinnego bakelitu na początku XX wieku, który stał się symbolem nowej ery plastiku. Minęło nieco ponad 100 lat od odkrycia, a wielkość światowej produkcji tworzyw sztucznych w 2016 roku szacowana jest na 335 mln ton i cały czas rośnie (wzrost w odniesieniu do 2015 roku o 4,3%).

Jeszcze w 1950 roku produkcja tworzyw sztucznych w Europie oceniana była na 0,35 mln ton, a teraz to ponad 150 razy więcej (ok. 50 mln ton). Zapotrzebowanie na tworzywa w Europie w roku 2016 szacuje się na ok. 50,5 mln ton. Natomiast masa wytwarzanych co roku odpadów z tworzyw sztucznych wynosi 25,8 mln ton (a ponad połowa to zużyte opakowania). Z tej ilości poddaje się recyklingowi tylko ok. 30 % takich odpadów, a większość jest spalanych lub składowanych. Znacząca część tego recyklingowego odsetka jest, a niekiedy była (Chiny) wysyłana poza granice UE i poddawana obróbce

w państwach trzecich, w których często obowiązują inne normy środowiskowe (mniej ostre niż w UE).

W tych bilansach Polska znajduje się na szóstym miejscu pod względem zapotrzebowania na tworzywa sztuczne w Europie. Szacuje się, że w 2016 roku polski przemysł przetwórstwa tworzyw sztucznych zużył ok. 3,3 mln różnych tworzyw polimerowych, co oznacza wzrost o ok. 6,9 % w stosunku do roku 2015.

Źródłem pierwotnego mikroplastiku, czyli cząstek mniejszych od 5mm, jest stosowanie tworzyw sztucznych w przemyśle, produktach farmaceutycznych, kosmetykach, farbach, materiałach ściernych do „piaskowania” lub proszków do produkcji wyrobów z tworzyw. Po tym wykorzystaniu szybko znajdują się w odpadach przemysłowych, budowlanych, komunalnych, nieoczyszczonych ściekach, czy osadach pościekowych, a nawet kompoście. Cząstki tworzyw sztucznych do środowiska trafiają na

różne sposoby, m.in. poprzez zamierzone działania człowieka polegające na kierowaniu organicznych odpadów do użyzniania gleby czy rekultywacji składowisk oraz są również efektem zaśmiecania środowiska przez człowieka. Duża część mikroplastiku trafia do środowiska wodnego, jako efekt niepełnego oczyszczenia ścieków lub spływów powierzchniowych pozostawionych na lądzie odpadów.

Natomiast wtórne mikroplastiki powstają w środowisku przez rozdrobnienie większych elementów tworzyw. Są one efektem procesów degradacji zachodzących w przyrodzie na skutek działania różnych czynników fizycznych, chemicznych i biologicznych

Odpady z tworzyw sztucznych są często transportowane przez prądy morskie na bardzo duże odległości. Mogą one zatrzymać się w osadach morskich lub ponownie zostać wyrzucone na ląd (te lżejsze od wody). Bardzo niepokojące jest zjawisko szybkiego rozpadu tworzyw sztucznych tzw. oksydegradowalnych na

drobiny, czyli mikroplastik i nanoplastik. Tego rodzaju materiał, który miał być rozwiązaniem

długiego rozkładu polimerów w środowisku, nie jest jednak biodegradowalny i najbardziej przyczynia się do zanieczyszczenia środowiska. Warto odnotować, że każdego roku na świecie od 5 do 13 mln t tworzyw sztucznych, czyli od 1,5 do 4 % ich światowej produkcji trafia do oceanów i mórz.

Szacuje się, że około 80 % odpadów tzw. „morskich” to tworzywa sztuczne a ich masa może już wynieść ponad 100 mln ton. Jaka z tego część jest i staje się mikroplastikiem tego nikt nie wie.

Czas geograficznych wielkich odkryć mamy już za nami, ale warto odnotować jedno z nich. W 1997 została „odkryta” tzw. Wielka Pacyficzna Plama Śmieci, czyli duże dryfujące skupisko

plastikowych odpadów utworzone przez prądy oceaniczne w północnej części Oceanu Spokojnego między Kalifornią a Hawajami. Szacowana masa dryfujących odpadów tworzyw sztucznych wynosi ok 130 tys. ton i ma ona powierzchnię ponad 5 razy większą od Polski.

Narażone na mikroplastik jest zarówno środowisko lądowe jak i wodne. Doniesienia naukowców mówią, że tworzywa sztuczne imitują pokarm i zwierzęta traktują go jak bazę pokarmową, co kończy się dla nich tragicznie. Kilka dni temu można było wyczytać, że odpady znalezione w żołądku wieloryba, (skonał u wybrzeży Tajlandii) ważyły osiem kilogramów, między innymi znaleziono 80 plastikowych toreb.

Mówi się, że przemysł tworzyw sztucznych w UE stoi przed wyzwaniami związanymi z wdrażaniem Gospodarki o Obiegu Zamkniętym. Trwa obecnie dyskusja nad rolą tworzyw sztucznych w gospodarce o zrównoważonym rozwoju, oraz o tym jak skutecznie zatrzymać zanieczyszczenie środowiska odpadami tworzyw sztucznych, zwłaszcza środowiska wodnego. Oby udało się znaleźć rozwiązanie, ale i w tym przypadku potrzebna jest nasza pomoc i zmiana nawyków konsumpcyjnych. Bo tak naprawdę czy ciągle musimy korzystać z jednorazowych toreb, paczek, kubków czy słomek?

**Życzę czytelnikom słonecznych wakacji bez zbędnego plastiku.**

*Dr Adam Lesiuk, adiunkt w Zakładzie Technologii Chemicznej, Wydział Chemii UMCS w Lublinie.*



Pracownicy pytają – radca prawny odpowiada

EWA BANDERSKA

# Jak uniknąć dziedziczenia długów?



Niedawno zmarł mój dziadek, po którym zostało mieszkanie zajęte hipoteką, a na dodatek cały czas przychodzą pisma od komornika, żeby spłacać długi niewiadomego mi pochodzenia. Chciałbym odziedziczyć mieszkanie, ale boję się, że suma długów dziadka może przewyższać wartość mieszkania. Co mam zrobić żeby nie popaść w kłopoty?

Imię i nazwisko znane redakcji

**Z**godnie z obowiązującymi przepisami, osoba wchodząca w grono spadkobierców, po powzięciu informacji o dziedziczeniu, może podjąć następujące decyzje w przedmiocie spadkobrania:

o przyjęciu spadku wprost – nie ograniczy wtedy odpowiedzialności za długi spadkowe, co oznacza, że będzie odpowiadać za wszystkie nieprzedawnione długi zmarłego;

o przyjęciu spadku z dobrodziejstwem inwentarza – ograniczy wtedy odpowiedzialność za długi spadkowe do wartości dodatniej spadku, co oznacza, że będzie odpowiadać za długi spadkowe do wartości majątku zmarłego, a w przypadku braku takiego majątku odpowiedzialności takiej nie będzie;

o odrzuceniu spadku – nie dziedziczy wtedy w ogóle ani długów ani innych składników majątku zmarłego, gdyż jest traktowana tak jakby nie dożyła otwarcia spadku, co w konsekwencji oznacza, że w jej miejsce wchodzi kolejna osoba

dziedzicząca na podstawie przepisów Kodeksu cywilnego.

Oświadczenie o przyjęciu lub o odrzuceniu spadku może być złożone w ciągu sześciu miesięcy od dnia, w którym spadkobierca dowiedział się o tytule swego powołania do dziedziczenia, a zatem osoby dziedziczące w dalszej kolejności mają sześć miesięcy od dnia, w którym dowiedzieli się o tym, że osoby dziedziczące przed nimi spadek odrzuciły, a nie od chwili śmierci spadkodawcy.

Aby przyjąć lub odrzucić spadek wystarczy złożyć stosowne oświadczenie przed notariuszem lub w sądzie rejonowym, w którego okręgu znajduje się miejsce zamieszkania lub pobytu składającego oświadczenie, a w przypadku pobytu za granicą można to uczynić przed polskim konsulem. Warto pamiętać, że jeżeli np. rodzic odrzucił spadek, w jego miejsce wstępuje dziecko, choćby było niepełnoletnie. Pełnoletnie dziecko może spadek odrzucić samodzielnie,

a w przypadku dziecka małoletniego reprezentujący go rodzice powinni uczynić to sami. Aby to uczynić winni uzyskać zgodę sądu rodzinnego na odrzucenie spadku przez małoletniego. Po uzyskaniu zgody sądu rodzice mogą odrzucić spadek w jego imieniu przed notariuszem lub w sądzie rejonowym.

Obecnie dla spadkobierców, którzy nie odrzucili spadku w ustawowym terminie obowiązują dość korzystne przepisy, chroniące spadkobiercę przed dziedziczeniem wprost w przypadku niezłożenia oświadczenia o odrzuceniu spadku, tj. ograniczają odpowiedzialność za długi. Spadkobiercy dziedziczą spadek z dobrodziejstwem inwentarza, czyli z ograniczeniem odpowiedzialności za długi spadkowe do wartości dodatniej spadku. W razie przyjęcia spadku z dobrodziejstwem inwentarza spadkobierca ponosi odpowiedzialność za długi spadkowe tylko do wartości ustalonego w wykazie inwentarza (składanym przez spadkobiercę u notariusza bądź w sądzie) albo spisie inwentarza (sporządzanym przez komornika) stanu czynnego spadku. Powyższe ograniczenie odpowiedzialności odpada, jeżeli spadkobierca podstępnie pominął w wykazie inwentarza lub podstępnie nie podał do spisu inwentarza przedmiotów należących do spadku lub przedmiotów zapisów windykacyjnych albo podstępnie uwzględnił w wykazie inwentarza lub podstępnie podał do spisu inwentarza nieistniejące długi.

Warto jednak zainteresować się sprawą i w przypadku uzasadnionych informacji o wysokich długach, lub długach przekraczających wartość dziedziczzonego majątku, podjąć być może

decyzję o odrzuceniu spadku. Nawet w sytuacji odziedziczenia spadku z dobrodziejstwem inwentarza i w rzeczywistości braku obowiązku zapłaty długu spadkobierca będzie zobowiązany do dokonania wielu formalności, a mając na uwadze sposób funkcjonowania organów i sądów może się okazać że wyjaśnienie sprawy będzie bardzo męczącym, kosztownym i czasochłonnym procesem. Z drugiej strony przed złożeniem oświadczenia o odrzuceniu spadku warto dokładnie ustalić stan majątkowy zmarłego, a w tym ewentualne jego udziały w innych masach spadkowych (np. po rodzicach zmarłego), gdyż pochopne odrzucenie spadku ciężko potem odwołać (uchylenie się od skutków takiego oświadczenia winno nastąpić przed sądem).

W sprawie, o którą zadano pytanie, należy zasugerować ustalenie wszystkich długów dziadka i sporządzenie wykazu inwentarza przed sądem albo u notariusza ze wskazaniem majątku dziadka. W przypadku gdy wartość długów dziadka przekracza wartość mieszkania należy rozważyć, czy nie lepiej spadek odrzucić razem z mieszkaniem.

**Masz pytanie do naszego radcy prawnego?**

**Potrzebujesz porady prawnej?**

**Napisz - odpowiedź opublikujemy**

**na łamach EKOgadki.**

**redakcja @ekogadka.pl**





WIEDZY NIGDY ZA WIELE RENATA GŁAZOWSKA

## Wczasy pod gruszą z ZFŚS

**K**iedyś, szczególnie w PRL-u, „wczasy pod gruszą” były bardzo popularne. Niewykluczone, że znów staną się modne, bo zagraniczny wypoczynek jest coraz droższy lub - w niektórych krajach - niebezpieczny, a nad Bałtykiem pogoda często nas zawodzi. Warto więc sprawdzić, czy mamy szansę na zastrzyk gotówki od pracodawcy, który może się dołożyć do naszych „wczasów pod gruszą”. Tak nazywa się wypoczynek organizowany „we własnym zakresie”, np. na działce, u rodziny na wsi, w gospodarstwie agro-turystycznym itp.

### Dla kogo i na jakich zasadach?

Od razu należy wyraźnie podkreślić dwie kwestie – przede wszystkim świadczenia socjalne w zakładach pracy należą się, co do zasady pracownikom, a więc osobom, pozostającym w stosunku pracy (plus byłym pracownikom – emerytom), a także członkom rodzin pracowników. Wyklucza to zatem możliwość, aby o wczasy pod gruszą czy inne świadczenia ubiegali się np. zleceniobiorcy – jako osoby zatrudnione w stosunku cywilnoprawnym, a nie w stosunku pracy, nie mają oni, co do zasady prawa do kodeksowego urlopu wypoczynkowego.

Pieniądze na dofinansowanie wypoczynku pracowników, a także ich dzieci pochodzą z Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych.

Jeśli środki na to pozwalają, to pracodawca może nie tylko wypłacić „wczasy pod gruszą”, ale również dofinansować dzieciom tych samych pracowników wyjazd na kolonie czy obóz, także zagraniczny.

Każda kwota dofinansowania z Funduszu Świadczeń Socjalnych na wypoczynek dzieci i młodzieży do lat 18 korzysta ze zwolnienia podatkowego. Spectrum wypoczynku, na który może udać się dziecko pracownika, jest dość duże. Ważne, żeby wyjazd był zorganizowany przez firmę do tego uprawnioną, a więc taką, która w swoim przedmiocie działalności ma organizację wypoczynku dla dzieci i młodzieży, i żeby dziecko nie ukończyło 18 roku życia.

Natomiast o wysokości dofinansowania przesądza ogólna sytuacja materialna pracownika.

Co ważne, świadczenia finansowane ze środków przeznaczonych na cele socjalne w ramach Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych nie stanowią podstawy wymiaru składek na ubezpieczenia społeczne, ani też na ubezpieczenie zdrowotne. Dopłaty z ZFŚS do wszelkich form wypoczynku są dla pracownika świadczeniem pieniężnym i podlegają opodatkowaniu podatkiem dochodowym, ponieważ ich wartość stanowi przychód ze stosunku pracy. Przy ustalaniu dochodu pracownika należy jednak pamiętać o zwolnieniach niektórych dochodów pracownika od podatku. Zwolnieniu podlegają m.in. świadczenia pieniężne otrzymane przez pracownika w związku z finansowaniem działalności socjalnej, o której mowa w przepisach o ZFŚS. Wysokość kwoty wolnej od podatku nie może w roku podatkowym przekroczyć 1000 zł (od 2018 r).

### Od czego zależy wysokość dofinansowania?

Zasady przyznawania dofinansowania w tej formie określa regulamin ZFŚS, a podstawowym kryterium powinna stać się sytuacja życiowa, rodzinna i materialna pracownika weryfikowana na podstawie złożonych Oświadczeń o wysokości dochodów pracownika oraz jego rodziny.

Tak więc nie wszyscy dostaną tyle samo w ramach „wczasów pod gruszą”. Najwięcej wpłynie na konto tych, którzy najmniej zarabiają oraz tych, których sytuacja materialna jest najtrudniejsza. Im wyższe zarobki, tym dofinansowanie niższe.

Zgodnie z ustawą o Zakładowym Funduszu Świadczeń Socjalnych wysokość wczasów pod gruszą nie może przekroczyć tzw. corocznego odpisu na fundusz. W 2018 roku odpis podstawowy na fundusz wynosi 1 185,66 zł dla pracownika, zatrudnionego na pełnym etacie. Sama wysokość wczasów pod gruszą może być niższa. Wynika to z faktu, iż przepisy ustawy wskazują górną granicę tego świadczenia, jaką jest wysokość odpisu. Ponieważ jednak fundusz socjalny musi mieć środki również i na inne świadczenia (zapomogi, dofinansowania itp.), to z reguły wysokość wczasów pod gruszą jest niższa niż wysokość corocznego odpisu na fundusz (jest ona w praktyce unormowana w regulaminie zakładowego funduszu świadczeń socjalnych).

### Kiedy wypłata pieniędzy?

Wczasy pod gruszą nie należą się „z urzędu”.

By otrzymać to świadczenie pracownik powinien w pierwszej kolejności złożyć, np. w dziale kadr swojego pracodawcy, stosowny wniosek o dofinansowanie „wczasów pod gruszą” wraz z oświadczeniem dotyczącym jego sytuacji osobisto-materialnej. Dofinansowanie będzie mu się należało wtedy, gdy spełni wymogi zawarte w firmowym regulaminie ZFŚS. Trzeba również pamiętać, że wszelkie świadczenia finansowane ze środków ZFŚS mają charakter nieobligatoryjny i pracownik nie może zażądać ich przyznania i wypłaty.

### Czy wczasy pod gruszą należą się również przy kilkudniowym wypoczynku?

Obowiązek co najmniej 14-dniowego wypoczynku dotyczy świadczenia urlopowego, a nie wczasów pod gruszą. Ustawa o funduszu socjalnym w żadnym miejscu nie narzuca minimalnego okresu wypoczynku uprawniającego do wspomnianych wczasów. Jeżeli pracodawca chce wprowadzić minimalny okres wypoczynku uprawniający do dopłat z funduszu socjalnego do wczasów, w tym organizowanych indywidualnie, to taki zapis powinien umieścić w regulaminie. Jeżeli nie został on wprowadzony, to pracownicy nabywają prawo do dopłaty nawet z tytułu kilkudniowego urlopu wypoczynkowego.

Jednak często regulaminy ZFŚS stawiają warunek wykorzystania co najmniej 2 tygodni nieprzerwanego wypoczynku, ponieważ pomaga to pracodawcom spełnić kodeksowy wymóg, aby przynajmniej jedna część urlopu obejmowała nieprzerwanie 14 dni.

Nie ma tutaj znaczenia, czy na wolne idziemy w wakacje czy w innej porze roku. Nie jest też ważne, czy na urlop gdzieś wyjedziemy, czy też wspomniane dwa tygodnie spędzimy w domu. Nie ma również wymogu byśmy wzięli udział w zorganizowanej formie wypoczynku. Dofinansowanie i tak będzie nam się należało, jeśli złożymy o nie wniosek.

Wczasy pod gruszą wypłacają pracodawcy pracownikom raz w roku. Należy też pamiętać, że jeśli pracownik nie skorzysta w danym roku kalendarzowym z wczasów pod gruszą, to nie przechodzi ono na rok następny, a po prostu przepada.

W przypadku świadczeń finansowanych z ZFŚS termin ich wypłaty jest regulowany w regulaminie ZFŚS. Dofinansowanie do wypoczynku może być więc wypłacone przed rozpoczęciem urlopu wypoczynkowego albo po urlopie.





Jest w Szkole Podstawowej nr 48 im. Józefa Piłsudskiego w Lublinie skarb szczególny. Skarb, który towarzyszy szkole od początku jej dziejów. Skarb starszy, niż owe 90-letnie mury skryte wśród wysokich sosen. Jest nim pierwsza kronika szkolna z lat 1928 -1939.

Jubileusz powstania szkoły był w tym roku impulsem dla wykonania reprintów tego szczególnego woluminu. Za sprawą firmy KOM-EKO przekazano na ręce pani dyrektor Henryki Olszak pięć egzemplarzy owego skarbu, a może raczej rzecz należy, skarbnicy pamięci.

#### Niebanalnie

Kto pierwszy raz spogląda na pożółkłe z lekka strony kroniki, dostrzega przede wszystkim sztukę kaligrafii. Dostrzega i płonie się w duchu. Rzecz jednak nie tylko w starannym, przejrzystym charakterze pisma kronikarza, ale i w języku, jakim się posługuje. Już pierwsze zdanie intryguje „Hasło jednolitej 7-klasowej szkoły powszechnej rozeszło się lotem błyskawicy po całej Polsce a przy odpowiednim poparciu rządowym uzyskało prawo czynu”. Szczególny styl, daleki od dzisiejszych suchych, urzędowych sprawozdań. Oczywiście, kronika nie jest li tylko sprawozdaniem, ale kto dziś sam z siebie takie słowa krzesze? „I oto w miejscu zacisznym – z dala od ruchu i gwaru – wśród drzew sosnowych i na tle zieleni lasu wyrósł jakby grzyb z ziemi okazały

gmach, z którego drzwiami i oknami winna płynąć wiedza i kultura, z którego winien wyjść młody obywatel – obywatel taki, jakiego potrzebuje współczesna Rzeczypospolita Polska”. Zgoda, jest w tym coś, co dziś moglibyśmy wziąć za odrobinę egzaltacji, ale jakże przyjemnie się to czyta.

#### Trudne początki

Na stronach formatu A4 spisano krok po kroku kolejne wydarzenia, które doprowadziły do wybudowania nowej szkoły, położonej jeszcze wówczas w gminie Wólka (w obręb administracyjny Lublina, szkoła została włączona w 1990 roku). Szkoła, wedle zamysłów kuratora lubelskiego okręgu szkolnego, miała kształcić dzieci pochodzące z miejscowości: Wólka, Jakubowice Murowane, Trześniów, Długie, Zadębie, Świdniczek, folwark Biskupie. Jest więc zapis o sporządzeniu w dniu 13 marca 1928 roku aktu rejentalnego w sprawie zamiany działki, na której znajdowała się stara szkoła na 3 morgi gruntu w lasku obok pastwiska wsi Wólka na budowę szkoły, boiska i sadu. Wykonawców budynku szkoły wybrano w drodze przetargu z końcem sierpnia 1928. Budowa pod kierownictwem pana Zbigniewa Rojowskiego z Lemszczyzny ruszyła 8 września 1928 roku i postępowała w dobrym tempie, skoro pierwsze, częściowe odbiory robót odbyły się już 14 grudnia 1928r.

W międzyczasie 30 września 1928 roku o godz. 15.00 odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego przez księdza kanonika Edwarda Nowosielskiego z lubelskiej Kalinowszczyzny. Końcowy odbiór budynku miał miejsce 12 listopada 1929 roku, co oznaczało, iż pierwsze zastępy 352 dzieci przystąpiły do nauki w roku szkolnym 1929/1930. Wcześniej, decyzją kuratorium, kierownikiem nowej szkoły został kierujący dotychczas szkołą w Łaszczowie pan Piotr Margraf. Oprócz niego pierwsze grono pedagogiczne tworzyły panie Janina Bąbińska, Aniela Margrafowa, Kinga Olędzka, Zofia Rochalska, Irena Tkaczukowa i Maria Walczakówna.

Kolejne strony to kolejne dni, tygodnie, lata zaskakująco bogate w wydarzenia. To informacje dające wiedzę o szkolnych sukcesach, ale i bolączkach. Zważyć bowiem należy, iż władze szkoły musieli się zmagać, zarówno z trudnościami okresu odbudowy Rzeczypospolitej jak i skutkami Wielkiego Kryzysu lat 1929-1933. Stąd zapisy o niedoborach w pomocach szkolnych, o skromnym księgozborze szkolnej biblioteki (raptem 140 woluminów przy 352 uczniach w 1930 roku) czy akcjach przeciwgruźliczych. Stąd informacja o 15% obniżce pensji urzędniczych i redukcji etatów, które z dniem 1 maja 1931 roku dotknęły pracowników szkoły.

Mimo tych trudności w szkole funkcjonowała „Spółdzielnia uczniowska”, „Koło przyrodnicze”, „Szkolna Kasa Oszczędności”, harcerstwo, „Koło Młodzieży Wiejskiej” czy „Strzelec”. Znajdziemy w kronice scenariusze akademii szkolnych i wycieczek (do Lublina, Jastkowa, Kazimierza, Świdnika, Krakowa, Gdyni czy COP), ale też tak na pozór błahe informacje, jak ta o zakupie w 1931 roku 64 ławek szkolnych w cenie 38 zł/szt., które wykonał dla szkoły stolarz z Wólki, pan Józef Pelczarski. Piszę, na pozór błałych, bo być może, gdyby nie ten zapis, nikt poza rodziną nie pamiętałby dziś o panu Józefie? Być może, ów fragment, to jedyne dziś świadectwo ceny ławek, wykonywanych, co ciekawe, zgodnie z wytycznymi ministerstwa.

Zachowała się też na kartach kroniki informacja o zorganizowanej w marcu 1930 roku wśród uczniów zbiórce pieniędzy na budowę w Lublinie pomnika Jana Kochanowskiego. Jak pisze autor kroniki „między działką szkolną” zebrano 18 zł 76 gr. Pomnik „z datków groszowych” odsłonięto 27 września 1931 przy udziale ministra oświaty

Janusza Jędrzejewicza.

#### Szkoła zdrowa, przyjazna, ekologiczna.

Kto dziś zajrzy na stronę internetową Szkoły Podstawowej nr 48 w Lublinie, przeczyta, iż to szkoła zdrowa, ekologiczna, bezpieczna i przyjazna. W kronice już w roku 1930 odnajdujemy zapisy świadczące o świadomości, jakie korzyści niesie działwie obcowanie z przyrodą. Oto we fragmencie z kwietniowego posiedzenia Rady Pedagogicznej zanotowano: „Na tym zebraniu omawiano dalsze nauczanie pewnych przedmiotów w okresie wiosennym na wycieczkach odpowiednio realizowanych. A więc nie sala szkolna i książka a sama natura winna być tą żywą księgą, z której dzieci bezpośrednio czerpałyby dalsze wiadomości przez obserwowanie i postrzeganie budzącego się życia”. Ktoś powie, słowa to li tylko, nic więcej. A jednak przeczą temu zabiegi komitetu budowy szkoły, który latem 1930 roku odkupił od byłego właściciela terenu pana Niedziałka sosny, które ów pan miał wedle umowy prawo wyciąć. Za cenę 5 zł/szt. uratowano tym samym 41 sosen. W tym samym fragmencie kroniki wspomina się również o zamiarze odkupienia sąsiadującej parceli „by nie dopuścić do wycinania drzew obok szkoły”. Zakup owego półtoramorgowego kawałka gruntu wraz z laskiem za 1600 zł sfinalizowano z końcem roku szkolnego 1930/1931.

Drzewa, jak się okazuje, nie tylko chroniono przed wycięciem, ale i sadzono. W dniu 23 października 1935 roku młodzież szkolna posadziła 1000 sadzonek czereśni przy szosie Długie – Sobianowice. Dodatkowo jesienią tego roku szkolny ogród rozrósł się m.in. o darowane 100 krzaków malin, 20 sadzonek czereśni, po 10 jabłoni i bzu.

W tymże roku przygotowano również boisko do koszykówki. Piłkę kupiono z rabatu przy zakupie książek, słupki do koszy ofiarowali przedsiębiorcy budujący szkołę a tablicę wykonano... ze starych tablic, mniemam, że szkolnych. Siatkę i piłkę do siatkówki zakupiono z przychodów „Spółdzielni uczniowskiej” ze sprzedaży materiałów piśmiennych.

#### Szerszy kontekst.

Wielkim walorem kroniki są zdjęcia. Spoglądając z nich nie tylko nauczyciele i uczniowie, ale i m.in. radni gminy. Bo też autorzy kroniki, starają się osadzić dzieje szkoły w szerszym kontekście. Stąd informacje o życiu gminy



Wólka (składzie rady czy podziale gminy Wólka na obwody wyborcze w planowanych na listopad 1930 roku wyborach do sejmu i senatu), w którym i nauczyciele i uczniowie brali czynny udział. Dość wspomnieć o spisie powszechnym ludności, który odbył się w dniach od 9 do 11 grudnia 1931 roku. Z powodu udziału w nim nauczycieli, na ten czas przerwano naukę w klasach od IV do VII. Gwoli ścisłości zliczono 9 563 mieszkańców, co oznaczało, iż w przeciągu 10 lat ludność gminy Wólka wzrosła o 1 236 mieszkańców.

Oprócz zdjęć pojawiają się w kronice wycinki z gazet. Jeden z nich przynosi informację o katastrofie autobusowej koło Wólki. 3 września 1933 roku próbując wyminąć na szosie furmankę, wpadł do rowu autobus kursujący na trasie z Łęcznej do Lublina. Ucierpiało 18 z 20 podróżujących.

Autorzy kroniki sięgają w swych zapiskach również poza granice gminy. Odnotowują m.in. wizytę 3 czerwca 1931 roku w Lublinie prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego, oraz jego udział dzień później w poświęceniu sztandaru szkoły w Jastkowie oraz odsłonięciu pomnika legionistów na tamtejszym cmentarzu. W innym miejscu wklejone fragmenty gazet informują o składzie rządu utworzonego przez Józefa Piłsudskiego po ustąpieniu gabinetu płk Walerego Sławka, czy też o składzie polskiej delegacji na jesienną sesję Rady Ligi Narodów. W maju 1931 roku przykuwa uwagę artykuł o intrygującym tytule „16 tysięcy metrów na spotkanie „promieni śmierci””. To rzecz o historycznym locie balonem szwajcarskiego fizyka Augusta Piccarda i Paula Kipfera na wysokość 15 785 m.

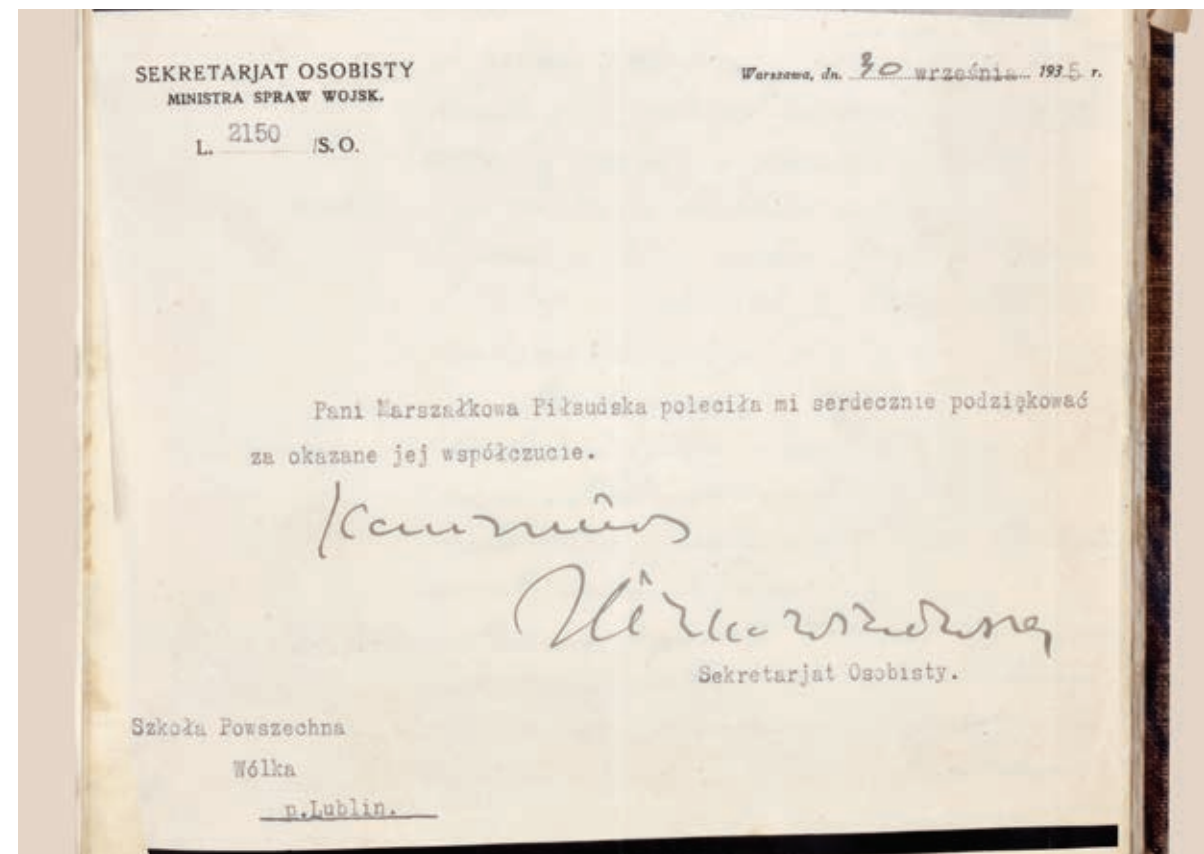
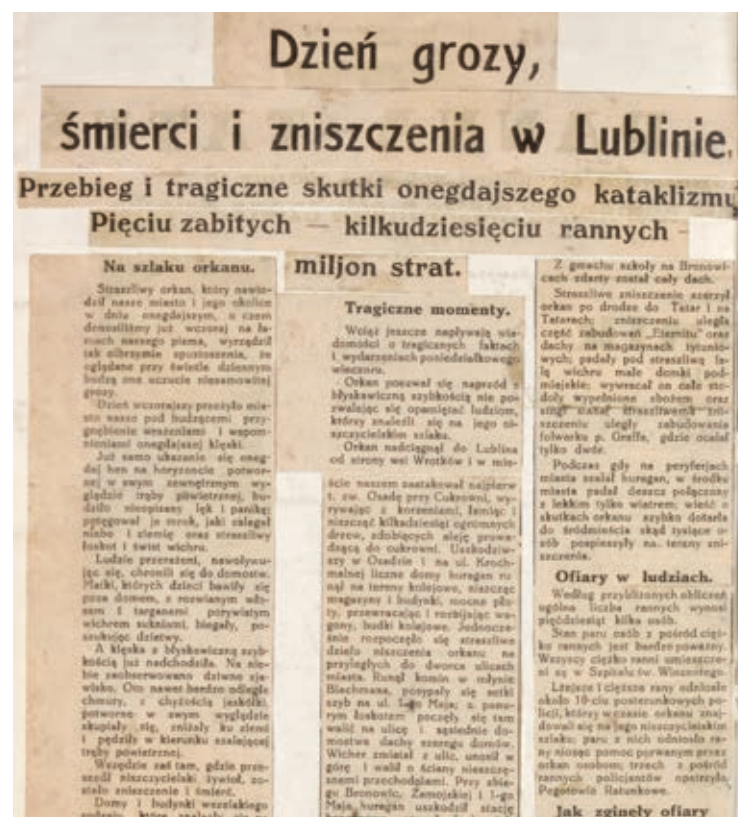
#### Siły natury

Luty 1931 roku przyniósł wieści o „Strasznym trzęsieniu ziemi w Nowej Zelandii”, które „obróciło w gruzy szereg miast, zniszczyło szereg istnień ludzkich i tysiące pozbawiło dachów nad głową”. Pod gazetowymi wycinkami odnajdujemy odręcznie zapisaną uwagę: „o powyższym trzęsieniu ziemi powiadomiono starsze dzieci szkolne i przedstawiono zagrożenie mieszkańców”. Ten, kto spisywał dzieje szkoły nie mógł wówczas wiedzieć, że ledwie pół roku później jej uczniowie sami staną w obliczu podobnych zdarzeń.

Oto 29 lipca 1931 roku przeszedł nad Lublinem silny szkwał. Jego śladem w kronice są liczne artykuły z lubelskich gazet, ale i osobista relacja autora: „Jako naoczny świadek,

obserwując w krytycznym dniu około 18 godziny zetknięcie się chmur, zauważyłem nad Motyczem dziwne zjawisko, bo połączenie się dwóch chmur, które utworzyły rodzaj wielkiego lejka sięgającego prawie do ziemi. Lejek ten wirując stało około 10 min w miejscu, w końcu zrobiło się nagle ciemno, a lejek ruszył z miejsca na Lublin i rozpoczął swoje niszczycielskie działanie, zaś powstałe wiatry niosły różne mienie tj. zboża, blachę z dachów, papę i stal z Lublina i okolic na Wólkę i dalej”. Gwałtowny wiatr raz to zwany przez dziennikarzy szkwałem, raz to orkanem nadciągnął nad Lublin od strony wsi Wrotków. Jego atak przypląciło życiem sześć osób. „Runął komin w młynie Blachmanna”, z folwarku Graffów ocalał tylko dwór. Żywiół zerwał dachy m.in. z fabryki „Eternit”, fabryki Moritza, szkoły na Bronowicach, gospodarstwach w podlubelskich wsiach Wrotków, Dąbrowa, Jastków, Zemborzyce i Wólka. Ucierpiało również budynek szkoły – wiatr zerwał z dachu gąsiory i poderwał blachę na północno-zachodnim rogu budynku. Wywrócił też osiem sosen.

O sile żywiołu świadczą zdjęcia wagonów kolejowych wywróconych na stacji kolejowej w Lublinie oraz szczególna prasowa notka traktująca o skutkach uderzenia wiatru w okolicach stawu rybnego w Rozkopaczewie, gdzie orkan „potężną swą siłą wyrzucił na przyległe pola niemal wszystką wodę z jeziora. Nazajutrz ludność wybierała z pól moc wyrzuconych przez orkan z jeziora ryb.”



#### Marszałek.

Szczególną część kroniki stanowi opis wydarzeń związanych ze śmiercią marszałka Józefa Piłsudskiego. Duże wrażenie pozostawia wklejona strona z Dziennika Urzędowego ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego z orędziem Prezydenta Rzeczypospolitej rozpoczynającym się od słów „Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył”.

Szkoda, iż w roku 1935 kto inny już prowadzi kronikę. Brak regularności wpisów, brak pietyzmu kaligrafa, ale i styl pisania zgoła inny. Stąd lekko sucha relacja o tym, iż młodzież szkolna na znak żałoby nosiła przez 6 tygodni żałobne opaski, o przystrojeniu sztandaru szkoły kirem czy powstrzymaniu się przez tydzień od zabaw, gier i śpiewów. Namiastką bardziej osobistej relacji zda się krótki zapis „Dzieci płakały. Wszyscy pytali się, co dalej będzie?”.

Niestety kronikarz, nie sporządził kopii depeszy kondolencyjnej wysłanej, jak czytamy, do żony marszałka. Szkoda. Odnajdujemy wszakże, wklejoną do woluminu odpowiedź. Pismo z dnia 30 września 1935 z Sekretariatu Osobistego Ministra Spraw Wojskowych zawiera zdanie „Pani Marszałkowa Piłsudska poleciła mi serdecznie podziękować za okazane jej współczucie”.

W zapiskach z tamtych dni znajdujemy również informację, iż w szkole urządzono zbiórkę pieniędzy na budowę kopca marszałka (zebrano 17 złotych) oraz podjęto decyzję o zorganizowaniu wyjazdu, by oddać hołd prochom marszałka i zawieźć ziemię z Wólki na powstający kopiec. Wycieczka odbyła się 15 lipca 1935 roku. Wzięło w niej udział 15 osób, których imiona i nazwiska zachowały się do dziś na załączonej do kroniki liście uczestników. Tak jak zamierzano, delegacja szkoły zawiozła do Krakowa ziemię z Wólki oraz wzięła udział w sypaniu kopca na Sowińcu. Nadto dzieci zwiedziły Wawel, Wieliczkę, katedrę, Smoczą Jamę, kopiec Kościuszki, ogród botaniczny i zoologiczny, oraz krakowskie muzea.

Śmierć marszałka Józefa Piłsudskiego stała się impulsem do wystąpienia o nadanie szkole jego imienia. W kronice znajduje się odpis pisma z dnia 20 października 1935 roku inspektora szkolnego pana Kaczorowskiego o nadaniu szkole w Wólce nazwy 7-klasowa publiczna szkoła powszechna imienia marszałka Józefa Piłsudskiego. Imię, które z niewielką korektą nosi do dzisiaj.



# Wbrew słomianym stereotypom

O słomie, jej znaczeniu w kulturze i życiu codziennym rozmawiamy z **dr Mariolą Tymochowicz**, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej oraz kustoszem sekcji etnografii Muzeum Lubelskiego.

## ADAM PRYZSTUPA

**Jako mieszkańcy miast spoglądamy na słomę, jako na coś nietrwałego. W języku pozostało sformułowanie „słomiany zapal”...**

To zaskakujące, bo słoma wcale aż tak nietrwała nie jest. Znaczącą rolę odgrywała w architekturze wiejskiej, w poszyciu dachów. Dobrze poszyta, gruba strzecha wytrzymała nawet do 30 lat. Na Lubelszczyźnie jeszcze dziś gdzieś możemy spotkać chałupy pokryte słomą. Oczywiście dziś to poszycie jest z reguły podniszczone, ale to pokazuje trwałość słomy. Dawniej była ona na wsi wykorzystywana wszechstronnie, jako materiał łatwo dostępny.

**Zatrzymajmy się na chwilę przy dachach...**

Dachy kładli specjaliści, dekarze. Dziś jest ich niewiele. Niełatwo nabyć tę umiejętność, stąd dachy dziś kryte słomą często nie mają już tej trwałości jak dawniej. Służyła do tego tylko odpowiednio przygotowana słoma żytnia. Na Lubelszczyźnie mamy dwa sposoby poszycia dachów, czyli zakłośniki i głowacze.

**Czym one się różnią?**

Sposobem ułożenia kłosów. Do dołu, albo do góry. Przy zakłośnikach, gdzie kłosa są ułożone do góry, strzecha jest bardzo ozdobna, schodkowa. Tę metodę stosowano na budynkach mieszkalnych. W przypadku głowaczy, gdy dach poszywano



klósem do dołu, był on płaski, gładki. Tę drugą formę stosowano powszechnie przede wszystkim na budynkach gospodarczych.

**Jaka była zaleta tego rodzaju pokrycia dachu?**

Mieszkańcy wsi to ludzie bardzo praktyczni, i trzeba pamiętać, że słoma wyróżniała się przewiewnością, stosowano ją by dom mógł oddychać. Po wojnie przestano poszywać dachy słomą z obawy przed ogniem i nowymi wymogami przeciwpożarowymi. Nawet był nakaz by zmieniać strzechy na innego rodzaju pokrycie dachu, eternit czy papę. Nie wszystkich było stać na dachówkę. Dziś wraca moda na strzechy. Warto jednak wiedzieć, że większość tych restauracji, karczm, które są przy drogach mają dachy kryte nie słomą a trzcina. W Polsce trzcina była rzadko stosowana, w zasadzie tylko na pojezierzach. To rozwiązanie, które dotarło do nas z zachodu.

**To nie jedyny sposób wykorzystania słomy w wiejskim budownictwie?**

Gdy chodzi o architekturę, to słoma była też wykorzystywana do ocieplania ścian. Robiono tzw. zagaty. Przy ścianach budynku od zewnątrz ustawiano takie deseczki wzdłuż ścian, a przestrzeń między deskami a ścianą domu wypełniano słomą albo liśćmi. Tworzyło to ciepłą izolację domu. Dziś pewnie nazwalibyśmy ją ekologiczną. Słomę wykorzystywano również do uszczelnienia przestrzeni między belkami tworzącymi ścianę. Robiono to przy pomocy takich słomianych warkoczy. Rzadziej na Lubelszczyźnie, częściej na południu, na Podkarpaciu. U nas do uszczelniania stosowano pociętą słomę wymieszaną z gliną. Poza tym w domach kominy, które były przy piecach miały konstrukcje szkieletową. Konstrukcję również wypełniano gliną wymieszaną z pociętą słomą. Często też używano słomy do tworzenia warstwy izolacyjnej na strychach. Można więc powiedzieć, iż miała ona dosyć szerokie zastosowanie w budownictwie i architekturze.

**Słoma odgrywała również istotną rolę we wnętrzu domostwa...**

Gdy było zimno często przynoszono słomę, aby ocieplić glinianą polepę. Stanowiła one również wypełnienie drewnianych łóżek. Skrzynię łóżka zasypywano słomą by z wierzchu przykryć ją lnianym prześcieradłem, na którym spano. Słomiane wypełnienie stanowiło więc rodzaj materaca. Dawniej mówiono, że człowiek rodzi się na słomie i umiera. Rodzi, bo kobieta dawniej rodziła w domu na łóżku. Gdy zaś mówimy o śmierci, trzeba wiedzieć, że istniał zwyczaj polegający na tym, że jeżeli ktoś długo umierał, to się go z tego łóżka ściągano na słomę, którą rozścielano na podłodze wierząc, że mu się w ten sposób pomoże umrzeć. Słoma jest więc łącznikiem z zaświatami, ma ułatwić przedostanie się tam gdzie zmierza umierający, ale pamiętajmy, że w ludowych wierzeniach uważano również, iż dzieci przychodzą do nas z zaświatów. Nie możemy też zapomnieć o plecionkarstwie, w którym słoma jest jednym ze stosowanych materiałów oprócz wikliny, gałęzi czy korzeni. Dawniej umiejętność wyplatania posiadali nie tylko plecionkarza, ale większość gospodarzy. Najczęściej zaplatano słomę metodą spiralną (np. w przypadku wyrobu kapeluszy) lub warkoczową, natomiast na Lubelszczyźnie stosowano tzw. guzełki, czyli metodą pętelową. Ze słomy wyplatano duże

naczynia zasobowe, w których przechowywano zboże. Miały one metr a nawet więcej wysokości. Nie wszyscy chłopcy mieli spichlerze i często zboże było trzymane w tych naczyniach na strychach. Mówiąc o zastosowaniu słomy wewnątrz izby nie możemy zapomnieć, iż odgrywała ona, jako łatwo dostępny surowiec, dużą rolę w zdobnictwie. Stąd np. zawieszane u pułapu pająki.

**Jaka była rola pająków, tylko ozdobna?**

Trudno to dziś stwierdzić. Na pewno zaliczamy je pająki do plastyki dekoracyjnej. Zdobity one przestrzeń przygotowywaną na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i na ważne obrzędy rodzinne, jak wesele. Pająki pojawiły się stosunkowo późno, bo w XIX wieku. Niektórzy uważają, że mogły być formą naśladownictwa żyrandoli widywanych np. w kościołach. Niektóre z nich, z powodu kształtu, określane są jako pająki żyrandolowe. Do tzw. pająków krystalicznych, tworzonych z trójkątów, kwadratów, przypominających pozlepiane ze sobą kryształki wykorzystywana była tylko słoma. Elementami zdobniczymi dodawanymi do konstrukcji ze słomy był groch lub fasola. Później w pająkach żyrandolowych obok słomy dodawano ozdobne kwiaty z bibuły.



**Skoro jesteśmy przy świętach, przychodzi na myśl Boże Narodzenie i Wigilia...**

Słoma przynoszona w Wigilię do izby przez gospodarza miała ją upodobnić do stajenki, do miejsca narodzin Chrystusa. We wspomnieniach ludzi, tej słomy było tak dużo, że mogły się w niej bawić, nurkować dzieci. Kiedy brakowało miejsca, można też było na niej przemocować

FOTO: ze zbiorów Muzeum Lubelskiego



gości. W czasie wieczerzy wigilijnej bywał taki zwyczaj, że gospodarz brał trochę tej słomy, podrzucił ją do pułapu i wtedy sprawdzano czy coś do niego się przyczepiło. Miało to wróżyć urodzajny rok, bo pamiętajmy, że wszystkie zabiegi, które podejmowano w Wigilię miały rzutować na cały następny rok. Po wieczerzy wigilijnej, albo w św.



FOTO: ze zbiorów Muzeum Lubelskiego

Szczepana, gospodarz razem z synem szedł do sadu zabierając ze sobą siekiere i powrosła zrobione uprzednio ze słomy zalegającej na podłodze izby. Gwoli wyjaśnienia, powrosło to specjalnie skręcona wiązka zboża służąca do obwiązywania snopków. Tym powrosłem obwiązywali drzewa owocowe, a gospodarz straszył je siekierą krzycząc „Będziesz rodziła?! Jeśli nie będziesz rodziła, to cię zetnę!”. Miało to w symboliczny sposób zmusić rośliny do kwitnięcia, a później obrodzenia. Obwiązanie drzewka słomą, która uczestniczyła w obrzędzie wigilijnym, która nabrała sakralnej mocy miało służyć zapewnieniu plenności. Ten obrzęd u nas na Lubelszczyźnie był praktykowany jeszcze w latach 60-tych a nawet 70-tych. Tradycja przynoszenia słomy do mieszkania zachowała się do lat 60-tych. Pamiętajmy też, że w Wigilię do izby przynoszono snopek z pełnymi kłosami. Tradycja ta zaczęła zanikać kiedy pojawiła się na wsi choinka. Wracając do słomy rozścielonej w izbie, ważne było by tę słomę wysprzątać w drugi dzień świąt, nim przyjdą kołędnicy. Ci zaś nieraz przychodzili wcześniej rano próbując przyłapać dziewczęta, które tej słomy nie posprzątały, aby wytknąć im niegospodarność.

**Stanisław Wyspiański unieśmiertelnił chochoła, chociaż też w tym kontekście słomianego zapalu...**

Mamy tu dwa wątki. Słoma była i wciąż jest wykorzystywana do ocieplania roślin. Z drugiej strony w tradycji ludowej słoma była wykorzystywana do przygotowywania kostiumów obrzędowych. Odgrywała ważną rolę obok kozuchów

zakładanych na lewą stronę tak by imitowały włosy, które kojarzyły się z mnogością, przybytkiem, przybywaniem czegoś nowego. Słoma natomiast, choć jak mówiłam była kojarzona z obumarłym zbożem czyli ze śmiercią, w innych sytuacjach obrzędowych przez to, że miała styczność z zbożem, z ziarnem była również utożsamiana z płodnością. Dlatego pojawia się szczególnie w kolędowaniu, gdzie mamy zwyczaj chodzenia po wsi drabów sławatyckich, którzy np. nogi obwiązywali sobie słomą i powrosłami, albo przewiązywali się powrosłem w pasie. W niektórych rejonach Polski, w okresie kolędowania pojawiała się postać niedźwiedzia ubieranego w snopek przewiązany powrosłami, albo też w suche grochowiny. W przypadku dziadów na Żywiecczyźnie noszono obrzędowe czapki wykonywane ze słomy. Nie możemy też zapomnieć o marzannie, kukle wypełnionej słomą. I tu znów mamy odniesienie do śmierci, bo kukła marzanny ma uosabiać zimę, której chcemy się pozbyć, która ma już odejść. Po jej spaleniu czy utopieniu ma nadejść wiosna. W Wielkopolsce czy na Podkarpaciu mamy jeszcze kukłę Judasza, którą wypychano słomą i palono. Ten zwyczaj związany był z okresem Wielkanocy zastępując jeszcze przedchrześcijańską praktykę topienia marzanny.

**W polszczyźnie funkcjonuje również powiedzenie o słomie wystającej z butów...**

Powiedzenie dotyczące osoby, która jest nie tyle ze wsi, co niewychowana, ale rzeczywiście słoma była wkładana do butów. Dawniej na

wsi nie było czegoś takiego jak rozmiarówka. Jak mawiano były dwa rozmiary butów – mniejszy i większy. Włożenie słomy było sposobem na dopasowanie obuwia, jeżeli było za luźne. Dodatkowo w zimie wkładano słomę by je ocieplić. Warto w tym miejscu przypomnieć, że ze słomy również robiono buty robocze. Zakładano je na założone wcześniej na nogi buty skórzane lub drewniaki. Dawniej zresztą butów nie noszono na co dzień. Nie wiem, czy się Pan z tym spotkał, ale często do kościoła szło się z butami na ramieniu i nakładało przed kościołem by tam wyglądać schludnie, elegancko. Po drodze do domu, gdzie buty mogły ulec zniszczeniu, zakurzeniu były one niesione, ale tym sposobem ludzie oszczędzali i mieli jedną parę butów przez całe życie.

**Słoma stanowiła też składnik pożywienia zwierząt gospodarskich jako sieczka...**

Tak, zwłaszcza na przełomie zimy i wiosny, gdy kończyły się zapasy siana, a jeszcze nie było trawy. Spotkałam się nawet z tym, że ludzie stosowali sieczkę. Drobną posiekaną, rozdrobnioną dodawano do mąki. No i oczywiście słoma rozścielana jest w oborze czy stajni do celów higienicznych. Słomę wykorzystywano także jako izolację przy kopcach ziemniaków.

**Mówiliśmy tu dotychczas o słomie w kontekście przeszłości, ale rzec by można, że słoma znowu powraca....**

Tak, słoma ponownie jest doceniana. Mamy na przykład do czynienia z czymś takim jak



FOTO: ze zbiorów Muzeum Lubelskiego

słomiane domy. Coraz więcej osób się do tego przekonuje. Słoma prasowana w kostkach nie stanowi już tak jak dawniej dodatkowego elementu architektury drewnianej, ale jest budulcem. Powstaje drewniana nośna konstrukcja szkieletowa a prasowana słoma w kostkach jest głównym wypełnieniem ścian. Na Lubelszczyźnie jest już kilka takich domów. Technologia budowania z wykorzystaniem słomy powstawały w Stanach Zjednoczonych i to już w XIX wieku na terenach, gdzie był utrudniony dostęp drewna. Taki słomiany dom tynkowany i nie był on aż tak bardzo łatwopalny jakby się wydawało. Takie konstrukcje są nie tylko ekologiczne, ale też znacznie tańsze.

**Popularne swego czasu stało się wykorzystanie właściwości palnych słomy w energetyce, czy dawniej też znajdowała takie zastosowanie?**

Nie, słomę wykorzystywano w różnoraki, jak mówiliśmy sposób na potrzeby gospodarskie. Pamiętajmy też, że stosowano otwarte paleniska. Piece z fajerkami, to dopiero koniec XIX wieku, więc tutaj spalanie słomy nie było możliwe.

**Poza tym wykorzystanie energetyczne słomy dziś jest pochodną traktowania jej jako odpadu, jako coś, co z definicji jest niepotrzebne. W dawnych czasach słoma odpadem nie była...**

Zdecydowanie. Jak widać słoma, choć stereotypowo postrzegana jest, jako coś nietrwałego, mało wartościowego, znajdowała bardzo szerokie zastosowanie.

## dr Mariola Tymochowicz

*Adiunkt w Zakładzie Kultury Polskiej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, absolwentka etnologii Uniwersytetu Wrocławskiego, dr nauk humanistycznych z zakresu kulturoznawstwa, kustosz sekcji etnografii Muzeum Lubelskiego w Lublinie, prezes lubelskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, autorka wielu opracowań i publikacji z zakresu etnologii Polski i Lubelszczyzny.*



# Akwarelowe przestrzenie

**ANNA SYTA**

Kurator wystawy, Muzeum Historii Miasta Lublina.



„Akwarelowe przestrzenie” to tytuł nowej wystawy czasowej w Muzeum Historii Miasta Lublina. Wernisaż, który odbył się 24 maja 2018 r. zgromadził wielu przyjaciół muzeum, gości zaproszonych przez artystów, a także miłośników dobrego malarstwa. Jest to kolejna w ostatnim czasie wystawa akwarel w naszym muzeum, na której możemy podziwiać widoki Lublina i nie tylko.

Ciekawe jest to, jak artyści z różnych stron Polski trafili do naszego muzeum i na dobre się z nim zaprzyjaźnili. Pierwszy plener akwarelistów odbył się w 2016 r. w Lublinie. To sami uczestnicy zagłosowali na Lublin, a nie proponowany Toruń, jako miejsce ich letniego spotkania. Podczas tamtego pleneru artyści siedząc na schodach Miejskiego Ratusza w cieniu portyku kolumnowego, malowali z natury otaczający ich miejski pejzaż oraz bohaterkę tej okolicy - Bramę Krakowską. Zaproszeni przez nas do wnętrza bramy, siedziby Oddziału Historycznego, upodobałi sobie ostatnią kondygnację, gdzie z ośmiu dużych okien roztacza się bajeczny widok na miasto. Wizyta zaowocowała wspaniałymi pracami oraz – co ważne – rozpoczęła trwającą do dziś

współpracę między środowiskiem akwarelistów, zrzeszonych w różnych organizacjach artystycznych a Muzeum Historii Miasta Lublina.

W roku jubileuszowym 700 - lecia Lublina muzeum promowało na swoim profilu facebook drugi plener akwarelistów oraz towarzyszące mu autorskie warsztaty akwareli, które prowadzili znani artyści. Przy okazji tamtych wydarzeń zrodził się pomysł zorganizowania zbiorowej wystawy „Akwarelowe przestrzenie”, której otwarta formuła pozwoliłaby na pokazanie wielu prac i zaprezentowanie różnych światów twórczych.

Do udziału w niej zaprosiliśmy trzynastu znanych artystów, którzy – jak to trafnie ujął Dariusz Płecha, współorganizator a zarazem uczestnik niniejszej wystawy – prezentują dwa światy twórcze. Pierwsza grupa to malujący architekci, druga – artyści plastycy. Grono byłych absolwentów Politechniki Warszawskiej i Krakowskiej stanowią: Minh Dam, Michał Suffczyński, Michał Jasiewicz, Tytus Brzozowski oraz Andrzej Gosik, który dodatkowo ukończył Wydział Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Druga grupa to artyści plastycy, w większości związana ze środowiskiem lubelskim. Artur Przybysz,

FOTO: udostępnione przez Muzeum Historii Miasta Lublina.



Bartłomiej Michałowski, Jarosław Drażek, Dariusz Płecha, którzy obronili dyplomy na Wydziale Artystycznym UMCS. Tatiana Majewska ukończyła Omski Instytut Sztuki, Artur Gołębiowski warszawską ASP, zaś Hai Minh Duong studiuje w Polsko Japońskiej Akademii Technik Komputerowych w Warszawie. Jacek Kwiatkowski i Bartłomiej Michałowski są nieodłącznie związani z Kazimierzem Dolnym oraz należą do powstałej w 2000 r. Kazimierskiej Konfraterni Sztuki, skupiającej ciekawe osobowości twórcze nie tylko z regionu Lubelszczyzny.

Tytuł wystawy „Akwarelowe przestrzenie” pozwala na zaprezentowanie prac różnych artystów, których cechą wspólną jest to, że tworzą w konwencji realistycznej. Jednak ich realizm to znacznie więcej niż tylko wierne oddanie wyglądu rzeczy. Sposób ukazania otaczającej nas rzeczywistości na tych obrazach wzbudza ogromny podziw dla umiejętności artystów.

Przestrzeń to głębia, wymiary, proporcje, odległości. Sposób jej ukazania był ważnym zagadnieniem w historii malarstwa, szczególnie skupiał uwagę teoretyków i artystów renesansu włoskiego. Trzeci wymiar można zasugerować na płaskiej powierzchni kartki przy pomocy



perspektywy linearnej, barwnej, kulisowej.

Mistrzowie rysunku i malarstwa, bo tak należy określić artystów, których akwarele prezentujemy na wystawie, operują tymi środkami wyrazu bezbłędnie. Niezliczone szkice i lata doświadczeń nadają ich pracom tę niewymuszoną lekkość i nonszalancję, charakterystyczną dla techniki akwareli. Jednak nie chodzi tu o popis wirtuozerii artystycznej. Obrazy są odbiciem ich wrażliwości na piękno, co pozwala dostrzec w codzienności niezwykle miejsce i ukazać je w nowy sposób. Przemysłana, ciekawa kompozycja i umiejętność operowania światłem wciągają nas w sytuację przedstawioną na obrazie

i przenoszą jeszcze głębiej, daleko poza kadr wydzielony przez okno passepartout. To, ile zobaczymy poza tym, co namalowane, zależy wyłącznie od naszych wewnętrznych przestrzeni wrażliwości na sztukę.

Wystawa będzie czynna do 15 sierpnia 2018 r. O towarzyszących wystawie wydarzeniach: oprowadzeniach kuratorskich oraz pokazach malowania akwarelą można dowiedzieć się na profilu facebook Muzeum Historii Miasta Lublina.





FOTO: Redakcja 2018 r.

# KRYMINAŁ TO NIE TYLKO ZAGADKA

O pisarstwie, powieściach kryminalnych i dawnym Lublinie rozmawiamy z **Marcinem Wrońskim**, pisarzem i dramaturgiem, autorem popularnego cyklu kryminałów o komisarzu Maciejewskim, laureatem m.in. Nagrody Wielkiego Kalibru dla najlepszej polskiej powieści kryminalnej, oraz Nagrody Artystycznej Miasta Lublina.

**ADAM PRZYSTUPA**

**Mam wrażenie, że forma kryminału retro jest wyrazem tęsknoty za Lublinem, którego dziś już nie możemy zobaczyć.**

Tak, dla czytelników „EKOgadki” warto dodać, tęsknoty za Lublinem znacznie bardziej brudnym, niehigienicznym i zaśmieconym. Lublin nie jest wyborem li tylko sentymentalnym. Gdyby Lublin nie znaczył czegoś więcej, miałoby może sens napisanie o nim dwóch książek, ale nie dziecięciu. Lublin w kryminałach o Maciejewskim, to nie jest tylko to miasto samo w sobie, ale Polska

w pigułce. Zresztą zgodnie z prawdą historyczną. Lublin był miastem leżącym prawie dokładnie w środku kraju. Województwo lubelskie było jedynym województwem w II Rzeczypospolitej bez przejść granicznych. Był więc Lublin miastem „statystycznym”, ani za dużym, ani za małym. Centralne położenie sprawiało, że te wszystkie problemy, które w Polsce były, które Polski dotyczyły, musiały tu istnieć, musiały się tu krzyżować. Czym innym jest pisanie o kresach, które były w jakiś sposób szczególne, czym innym

o Warszawie, bo stolica, czym innym o Gdyni, o Zakopanem itd. Jest w tym więc sentyment, bo historią Lublina zawsze się interesowałem i dalej się interesuję, ale też sens literacki, czyli Lublin, jako mała Polska.

**To Lublin był inspiracją i pomyślał pan o kryminale, czy odwrotnie?**

Zainspirował mnie Lublin. Pierwszy raz pomyślałem o lubelskim kryminale retro w 1995 roku. Wtedy na studiach polonistycznych, chodziłem na zajęcia z teatrologii i miałem za zadanie napisać pracę semestralną, która polegała na rekonstrukcji repertuaru w którymś z przedwojennych sezonów. Zacząłem przeglądać ówczesne gazety, aby ten repertuar zrekonstruować i szybko te recenzje przestały mnie interesować. Bardziej zająłem się kroniką kryminalną. Wtedy o tym pomyślałem. Z sentymentu za Lublinem ciekawym, charakternym, w którym się coś działo, w którym było tyle kin, nie mówiąc już o tym miksie narodowościowym. A czytałem o tym w połowie lat 90., kiedy nasze miasto dopiero powoli i ospale wychodziło z peerelowskiej szarzyzny. Tak więc to Lublin mnie zainspirował, ale żeby o nim pisać, potrzebowałem znaleźć na miasto klucz literacki. Inaczej powstałby fabularyzowany przewodnik turystyczny i nic więcej. Literackie miasto musi być bowiem metaforą czegoś większego, innego, tak jak Oran w „Dżumie” Camusa. Myślę, że gdyby nie zawarta w moich kryminałach „Polska statystyczna”, nie rozmawialibyśmy dzisiaj, bo mój pisarski sukces byłby co najwyżej sukcesikiem, nawet mniej niż lokalnym.,

**Warstwa uniwersalna...**

Siłą rzeczy mieszkańcy naszego miasta po nie sięgają, bo odnajdują w nich coś swojego, ale przecież bym nie wyżył, gdyby tylko lublinianie je czytali.

**Poznają pana na ulicach?**

Na ulicach, w sklepie, w różnych miejscach.

**Nie boli więc pożegnanie z Zygą?**

Na wszystkich spotkaniach tłumacząc, dlaczego się z nim żegnam.

**Nie zadziała mechanizm podobny jak u Arthura Conana Doyle’a i komisarz Maciejewski powróci?**

Nie sądzę. Wbrew pozorom napisałem już więcej o Maciejewski, niż Doyle o Sherlocku, a jeszcze jesteśmy przed tym domniemanym powrotem. Nie da się ciągnąć czegoś zbyt długo. Inaczej, dałoby się, gdyby przyświecała mi

podobna intencja jak Agacie Christie, dla której liczyła się przede wszystkim zagadka. W momencie, gdy miała zagadkę, miała wszystko. Wystarczyło tylko usiąść i napisać. Ja zupełnie inaczej podchodzę do kryminału. Zagadka jest potrzebna, natomiast bardzo ważne jest dla mnie, by ten kryminał powstał po coś, by pokazał jakiś nowy problem. Teoretycznie mogę wymyślić kolejną zagadkę opierającą się na istotnym przecież problemie antysemityzmu, ale o tym już było. Był „Pogrom w przyszły wtorek” o pogromie, był „Portret wisielca” o nacjonalizmie na uniwersytetach. Za każdym razem starałem się ten kryminał osadzić w jakimś konkretnym socjologicznym, historycznym, politycznym kontekście, a konteksty mi się skończyły.

**Konteksty, które wymagały przygotowania....**

Oczywiście. „Skrzydłata trumna” jest o samolotach, a ja nie miałem o nich żadnego pojęcia. To jest najprzyjemniejsze w tej robocie. Samo pisanie to nuda. Najfajniejsze jest wymyślanie, a cała reszta to już jest żmudna praca. Najprzyjemniej byłoby tylko wymyślać i zatrudniać kogoś, kto by to realizował.

**Etap przygotowań bywa czasem zaskakujących odkryć?**

„Pogrom w przyszły wtorek” powstał, ponieważ znalazłem zupełnie przypadkiem, szukając czegoś kompletnie innego do wcześniejszej powieści „Kino Venus”, notatkę z gazety z 1945 roku. Notatkę o tym, że zaginęła dziewczynka i w związku z tym „określone męty społeczne i siły reakcyjne usiłowały wzniesić zamieszki antyżydowskie”, ale „Urząd Bezpieczeństwa i Milicja wszystko sprawdziły, zapobiegły zamieszkom”, a dziewczynka ukrywająca się u krewnych, bo bała się powiedzieć ojcu, że nie zdała do następnej klasy, znalazła się cała i zdrowa. To była pierwsza cegiełka „Pogromu w przyszły wtorek”, do której oczywiście doszły kolejne, pokazujące klimat czasów tuż po wojnie.

**Jeśli więc w opowiedzianych historiach jest rdzeń prawdy historycznej, czy zdarzyło się, że odezwał się do Pana ktoś, kto miał związek z tymi wydarzeniami?**

Oczywiście. „W skrzydłatej trumnie” po raz pierwszy pojawia się przodownik Koszałka, policjant z komisariatu przy Lubartowskiej. Wcześniej po wydaniu „Kina Venus” napisał do mnie czytelnik, że jego dziadek służył w tym



samym komisariacie co Zyga Maciejewski. Pisał, że między innymi dlatego sprawiłem mu przyjemność swoją literaturą i nie wie, jakie są moje plany, ale gdybym np. chciał umieścić w jakiejś powieści dziadka, to byłoby mu bardzo miło, a on nawet dostarczy materiały, zdjęcia. Dlaczego nie? Zawsze w kryminale, oprócz głównego bohatera musi być jakiś policjant, który po prostu jest, coś tam robi, ale coś mniejszego, dostarcza informacji czy wykonuje jakieś pomniejsze zlecenie. Stąd postać przodownika Koszałki. Wystąpił najpierw w „Skrzydlatej trumnie”, potem w „Portrecie wisielca”. Dwie inne sytuacje wiążą się z książką „Haiti”. W „Haiti” występuje majątek Suchowola, gdzie książkę Czetwertyński miał stadninę, z której to właśnie pochodziła tytułowa kłacz Haiti. Na podstawie informacji, które otrzymałem od pani Agnieszki Gątarczyk, zajmującej się historią Czetwertyńskich, dość wiernie przedstawiłem ludzi, którzy rzeczywiście u nich pracowali, w tym kierownika stadniny, byłego oficera. Oboje byliśmy przekonani, że jego syn, dziś już starszy pan, ucieszy się z takiego bohatera. Tymczasem obraził się na śmierć, bo jego ojciec nie piłby wódki z Maciejewskim. Dla mnie rzecz zaskakująca, ale każdy ma swoją wrażliwość. Z kolei na jednym ze spotkań autorskich, starsza pani opowiadała mi, że rozplakała się, czytając „Haiti”, ponieważ opisałem kuźnię jej ojca. Kuźnię w Konopnicy, po której nie ma już śladu. To była bardzo sympatyczna rozmowa, bo ja tę kuźnię pamiętam, jeszcze ze swego dzieciństwa. Zaś ta pani po prostu wzięła do ręki kryminał, i nagle... odnalazła w nim swoją prywatną historię. Bardzo miłe.

#### **Zyga Maciejewski jest zupełnie fikcyjną postacią?**

Zupełnie fikcyjną. Policjant tak niesubordynowany, nie miałby prawa być policjantem. Jak większość literackich glin, nie ma nic wspólnego z realiami. Robert Litwiński, dziekan humanistyki na UMCS, napisał dwie świetne monografie – jedną poświęconą tylko przedwojennej policji w województwie lubelskim, a drugą o ówczesnej policji w ogóle. Stamtąd pełnymi garściami czerpałem informacje, bo jest to historyk, który pisze o „mięsie”, a nie tylko o tym, jak być powinno. Przeróżne ustawy, regulaminy policyjne, konfrontuje z informacjami prasowymi, a nawet z donosami, jakie policjanci na siebie pisali nawzajem. To z jego książki wiem, że policja

lubelska miała trzy samochody, w tym jeden zepsuty. Stąd mogłem wpleść tyle tych historii samochodowych z Maciejewskim, które prowadziły do tego, że Maciejewski chodził piechotą bądź jeździł dorożką.

#### **Praca nad retrokryminałem, to również dbałość o słownictwo.**

Robiłem też badania językowe, a nawet nauczyłem się przedwojennej ortografii. Stąd też tytuł powieści „Kwestja krwi” przez „j”. Staralem się czytać powieści przedwojenne, np. Dołęgi-Mostowicza, w reprintach, a nie we współczesnych wydaniach. Wertowałem gazety, wspomnienia, pamiętniki. Stąd też ten językowy autentyzm, który zapewne nie dla każdego czytelnika jest ważny, ale ja bym nie był w stanie wypuścić spod swoich rąk powieści, w której komisarz Maciejewski mówi do innego bohatera „OK”. Chodzi o to, by nie tworzyć skansenu językowego, ale też nie kłamać, używając słów, wyrażań, których nie było, i dać współczesnemu czytelnikowi odczuć tę różnicę.

#### **Zdarzyło się, iż czytelnicy próbowali podpowiadać panu tematy kolejnych książek?**

Tak, ale to nie były duże historie, na których można by oprzeć całą książkę. Mniejsze historie to inna sprawa. „Gliny z innej gliny”, które kończą cykl o Maciejewskim są zbiorem opowiadań. Przed pisaniem „Glin...” zapytałem na Facebooku, jakich tematów życzyliby sobie czytelnicy. Oczywiście, nie ze wszystkimi było mi po drodze, bo np. nie potrafiłem wymyślić fabuły kryminalnej o Maciejewskim jako ochotniku walczącym z bolszewikami w 1920. Jednak otrzymałem też pytania „A jak właściwie Maciejewski poznał Różę?”, albo „Co będzie z jego synem?”. Zrobiłem ranking, które pytania pojawiają się najczęściej i opowiadania są odpowiedzią.

#### **Deklaruje Pan, iż cykl o komisarzu Maciejewskim, jest już zamknięty. Lubił Pan tego bohatera?**

Jest to, wydaje mi się, jeszcze wciąż najdłuższy cykl kryminalny, jaki w ostatnich latach napisano w Polsce. Lubię go. To nie jest tak, że nigdy już nigdzie Zygi nie umieszczę. Maciejewski wystąpił w mojej młodzieńczej powieści z 1994 roku „Obsesyjny motyw babiego lata”. Nie był wówczas policjantem. Skąd się tam wtedy wziął? Nie wiem. Imię i nazwisko jak każde. Wydało mi się fajne. Fajne, bo ta forma imienia Zygmunt, Zyga to jedna z ciekawszych

form polskiego imienia. Taka ni to żeńska, ni to męska. A Maciejewski? Nazwisko zwyczajne. Chłopak z sąsiedztwa. Pewnie tak o tym wtedy myślałem, ale jak mogę pamiętać o tym, o czym myślałem tyle lat temu? Ponieważ to było fajne imię i nazwisko, więc je przywróciłem. W kryminałach o Maciejewskim występuje fikcyjne miasteczko Szkodyń nad Bugiem. Wystąpiło, co najmniej dwa razy. W „Haiti” w retrospekcjach Fałniewiczza z wojny polsko-bolszewickiej, no i oczywiście w „Czasie Herkulesów”, gdzie Zyga Maciejewski jest w Szkodyniu, prowadząc śledztwo, a potem wypoczywa z Różą na letnisku. Ten Szkodyń jest też głównym miejscem akcji moich współczesnych słuchowisk kryminalnych. Bardzo lubię wszelkie nawiązania, w ramach własnych książek, ale to musi funkcjonować. Może się pojawić w „Czasie Herkulesów” Jakub Wędrowycz, bohater książek Andrzeja Pilipiuka, i może się pojawić w „Kwestji krwi” ojciec Teofila Olkiewiczza z powieści Ryszarda Ćwirleja, bo miało to logiczne i literackie uzasadnienie. Szczególnie z Olkiewiczem była to ciekawa sprawa, bo potrzebowałem w swoim retro głupiego policjanta, postaci identycznej z bohaterem Ryszarda z jego powieści neomilicyjnych, dziejących się w latach 80. Zapytałem więc Ryszarda, czy się zgadza, a on pociągnął to dalej i jak twierdzi, to był pierwszy impuls, który skłonił go do rozpoczęcia własnego cyklu kryminałów retro. W tym roku właśnie za jeden z nich otrzymał Nagrodę Wielkiego Kalibru.

#### **A gdyby ktoś chciał się w ten sam sposób posłużyć Zyga?**

Gdyby poprosił, zapytał, to bym to rozważył. Zależy to od kontekstu. Jeżeli byłby on zgodny z postacią, prawdopodobnie bym się zgodził. Natomiast gdyby ktoś chciał napisać „Maciejewskiego 11”, na pewno nie. To nie jest kwestia zazdrości, tylko praw do postaci. W „Glinach z innej gliny” oprócz moich opowiadań są teksty trzech kolegów: wspomnianego już Ryszarda Ćwirleja, Roberta Ostaszewskiego i Andrzeja Pilipiuka.

#### **Ucieszyło to Pana?**

Bardzo, bo klucz był uczciwy i słuszny. Dobrzy pisarze, którzy przy okazji ten cykl znają, bo są moimi czytelnikami, i o Zydzie Maciejewskim wiedzą tyle samo, co ja. Napisali świetne opowiadania, w posłowniu napisałem nawet, że są lepsze od moich.

#### **Gdyby dziś miałby Pan napisać swoją pierwszą książkę?**

Tę debiutancką sprzed 25 lat? Dziś nie napisałbym jej wcale. Ale swój pierwszy kryminał tak, tylko zupełnie od nowa. Byłoby wiele zmian.

#### **Ale z drugiej strony „Morderstwo pod cenzurą” jest dziś świadectwem ówczesnego stanu ducha czy umysłu.**

Oczywiście, jest też świadectwem ówczesnego stanu gatunku. Gdy ją pisałem, polskich kryminałów w Polsce wychodziło 30 rocznie. W tej chwili wychodzi ok. 200. To są oczywiście powieści różnej rangi. Niektóre dobre, inne tylko popularne, a jeszcze inne są bardzo niszowe. Najróżniejsze, retro i współczesne, humorystyczne i na serio.

#### **A kogo Pan czyta?**

Bardzo mało dziś czytam kryminałów. Mam kilku ulubionych autorów i śledzę ich twórczość. Wciąż lubię Marka Krajewskiego. To jest ta osoba, dzięki której wszyscy jesteśmy, to on odnowił polski kryminał. Lubię Ryszarda Ćwirleja. Chętnie bym wspominał o Małgorzacie i Ryszardzie Kuźmińskich, którzy wymyślili sobie taką niszę – kryminał etno. Nie są przesadnie popularni, a piszą bardzo dobre książki. Nie czytam kryminałów z dwóch powodów. Pierwszy to czas. Ważniejsze jest dla mnie przeczytać książkę, z której się czegoś dowiem, która mnie zainspiruje do pisanie czegoś własnego. Po drugie, proszę sobie wyobrazić górnika, który po powrocie z szczytu, dla rozrywki idzie do piwnicy przerzucać węgiel.

#### **Czy autor czytający kryminały nie jest narażony na zakodowanie w głowie motywów, które już ktoś wykorzystał?**

Trochę tak jest i wielu autorów mówi, że gdy piszą, starają się nie czytać. W moim przypadku, kiedy piszę, to nie mam ochoty na czytanie czegokolwiek, co nie jest potrzebne mi do pracy. Obawa przed nieświadomym powtórzeniem jest trochę pozorną, dlatego że pewne trendy i tak wiszą w powietrzu i nigdy nie możemy być pewni, czy ktoś, nie wiadomo kto, w tym samym czasie nie pisze o tym samym.

I tutaj przykład, z najnowszej historii polskiej literatury kryminalnej. Katarzyna Bonda była pierwszą autorką, która umieściła w swoim kryminale postać profilerka. W tym samym czasie na ten sam pomysł, Bondy nawet wówczas nie znając, wpadł Mariusz Czuba. Gdy skończył swoją powieść, ukazała się książka Katarzyny Bondy.

Szczęśliwie sam takiego kłopotu nie miałem.

### Czy przed wojną pisano w Polsce kryminały?

Mnóstwo. Nie była to literatura wysokich lotów, ale ja je czytuję. Po pierwsze, by wiedzieć, co czyta Róża, partnerka Maciejewskiego, która jest miłośniczką kryminałów. Po drugie, aby też czysto gatunkowo spojrzeć na ten czas niewinności. Tak to nazywam. Czas niewinności w polskim kryminale, który tak naprawdę dopiero powstawał, bo pierwszy polski pełnokrwisty kryminał „Tajemnice Nalewek” Henryka Nagiela to koniec XIX wieku. Lata dwudzieste to rozwój gatunku, nieobciążonego jeszcze powojenną powieścią milicyjną. Bardzo zła literatura, ale na swój sposób słodka, bo bez najmniejszych ambicji pogłębienia psychologicznego, społecznego itp.

### Wróćmy jeszcze do przedwojennego Lublina. Pisząc, był Pan tam, chodził tymi ulicami?

Tak, oczywiście, „mam Alzheimera”. Stopniowo się z tego leczę. Gdzieś w połowie tego cyklu zacząłem się przyłapywać na tym, że nie pamiętam, jak ulica nazywa się dzisiaj, a pamiętam, jak nazywała się przed wojną. Pamiętam taką sytuację, że tłumacząc komuś drogę, za skarby świata nie mogłem sobie przypomnieć nazwy ulicy Parkowej na Bronowicach, która kiedyś nazywała się Chlewna. Pamiętałem tylko Chlewną, która wystąpiła w „Skrzydlatej trumnie”. Tam gdzie mieszkała młoda krawcowa, która się bardzo spodobała Maciejewskiemu. Cóż, z Lublinem okresu międzywojnia obcuje, oczywiście z różną intensywnością, od lat ponad dwudziestu...

### I dzięki Panu wielu czytelników lepiej ten Lublin poznało...

Tak, mówią mi o tym. W przypadku osób starszych to jest wiedza przypominająca im coś, o co sami się otarli. Młodszy czytelnicy odkryli, że mieszkają w miejscu niebanalnym.

### Za co, kończąc naszą rozmowę, w swoim i ich imieniu dziękujemy.

Ja również dziękuję. Było mi bardzo miło.



**Marcin Wroński**

*Pisarz i dramaturg, autor popularnego cyklu kryminałów retro o komisarzu Maciejewskim. Laureat m.in. Nagrody Wielkiego Kalibru i dwukrotnie Nagrody Wielkiego Kalibru Czytelników.*

*Debiutował w 1992 roku, w latach 90. związany z nurtem „trzeciego obiegu”. Popularność i życie z pióra przyniósł mu jednak cykl kryminałów retro o komisarzu Maciejewskim rozpoczęty w 2007 Morderstwem pod cenzurą, a zakończony Glinami z innej gliny (2018). Za Pogrom w przyszły wtorek pierwszy w historii Nagrody Wielkiego Kalibru otrzymał zarówno nagrodę jurorów, jak też po raz drugi nagrodę czytelników (2014). Pogrom... w 2017 – w opracowaniu autora – miał premierę sceniczną jako widowisko plenerowe, wykorzystujące środki teatralne i filmowe.*

*Kryminały M. Wrońskiego były tłumaczone na rosyjski, wkrótce ukaże się przekład francuski. Autor pracuje nad współczesnym thrillerem politycznym.*

# RZECZY POMIESZANIE

ADAM PRYZSTUPA

Czasem ważnych, czasem błahych, czasem intrygujących,  
ale zawsze prawdziwych...

**Jak wysoko** może skoczyć człowiek? Kiedy piszę te słowa rekord świata w skoku wzwyż wciąż należy do Kubańczyka Javiera Sotomayora, który wysokość 2,45 m pokonał w 1993 roku. Najwyżej skacząca kobietą od 1987 pozostaje Bułgarka Stefka Kostadinowa, która osiągnęła wysokość 2,09 m. Nieoficjalny rekord świata w skoku wzwyż... z miejsca dzierży od 1980 roku szwedzki lekkoatleta Rune Almén. Jego wynik to 1,90 m. W konkurencji skoku dosiężnego niezmiennie palmę pierwszeństwa dzierżą siatkarze – mierzący 206 cm wzrostu Kubańczyk Robertlandy Simon w 2014 sięgnął dłonią wysokości 3,84 m.

**Stylowe, lekkie i przewiewne** kapelusze marki Panama pochodzą z... Ekwadoru. Formuje się je z jednego kawałka materiału tkanego z rosnących tamże roślin palmowych Carludovica palmata. Jakość kapelusza Panama określa się szczelnością splotu. Najlepsze po napełnieniu wodą nie przeciekają, a po zwinięciu dadzą się ponoć przewlec przez obrączkę. Swoją mylną nazwę kapelusze zawdzięczają miejscu masowej sprzedaży – w czasach wielkiej kalifornijskiej gorączki złota sprzedawano je poszukiwaczom zmierzającym do Kalifornii przez Panamę. Wzmocnił ów przekaz prezydent USA Theodore Roosevelt, który nadzorując w 1906 roku budowę Kanału Panamskiego, został uwieczniony na zdjęciach w takim właśnie kapeluszu.

**W okresie dwudziestolecia** międzywojennego zagadnienie małżeństw zawieranych przez oficerów regulowało Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 1 kwietnia 1932 roku. Wymogiem była zgoda przełożonych, ukończenie przez oficera 24 roku życia, posiadanie stopnia oficerskiego przez co najmniej 5 lat i „nieposzlakowana opinia narzeczonej”, oraz jej „poziom umysłowy i towarzyski” „odpowiadający stanowisku żony oficera”. Badanie potencjalnych przeszkód mogło trwać 3 miesiące, zaś udzielona zgoda była ważna pół roku.

**Czy świecki władca mógł** zakwestionować podczas konklawe wybór papieża? Takie prawo zwyczajowe zwane ekskluzywą (Ius exclusivae) przysługiwało od 1644 roku cesarzowi oraz królowi Francji i Hiszpanii, jako trybut płacony w zamian za opiekę katolickich mocarstw nad Państwem Kościelnym. Władcy czynili to za pośrednictwem wybranego kardynała. Z prawa tego korzystano 14 razy. Po raz ostatni z ekskluzywy skorzystał 1 sierpnia 1903 roku biskup krakowski Jan kardynał Puzyna, blokując wybór sympatyzującego z Rosją kardynała Mariano Rampolli i otwierając drogę do wyboru Giuseppe Melchiora kardynała Sarto, który przyjął imię Piusa X. Nowo wybrany papież zniósł ów zwyczaj 20 stycznia 1904 r.

**Istnieją ptaki**, które potrafią latać do tyłu. Umiejętność tę posiadły kolibry, dzięki specyficznym ruchom skrzydeł, kreślącym w powietrzu „ósemki”. W Polsce, w szczególnych warunkach, w powietrzu o temperaturze nie przekraczającej -10°C, poszukując pożywienia na końcach gałęzi świerków, podobnie zachowywać stara się mysikrólik. Pozorny lot do tyłu (unoszenie się) podczas podmuchów silnego wiatru można zaobserwować o mew, kawek, pustulek i myszołowów, nie jest to jednak lot aktywny.



ADAM PRZYSTUPA

# Z Wiechem po Lublinie



FOTO: ze zbiorów NAC -1960 r.

**J**est Stefan Wiechecki pisarzem na wskroś warszawskim. Nie znaczy to jednak, że w swoich stylizowanych gwarą opowieściach nigdy nie wypuszczał się poza stolicę. O Lublinie w felietonie zatytułowanym, jakżeby inaczej, „Moje lubelskie emocje” pisał, iż odwiedza go chętnie i często. Pomyślałem więc by wybrać się z Wiechem na przechadzkę po mieście, o którym jak się okazało wielu rzeczy jeszcze nie wiem...

## Na „dziennikarskiej ulicy”.

Zwie Stefan Wiechecki Lublin, ku zaskoczeniu czytających, „miłym i najbardziej chyba prapolskim z naszych miast”. I choć chwilę potem pisze, iż ów sentyment do grodu nad Bystrzycą rozpoczął się „w tak zwanym pamiętnym wrześniu” gdy ewakuowany z Warszawy z redakcją „Expressu Porannego” trafił do zaciemnionego miasta, to w istocie jego kontakty z Lublinem zaczęły się nieco wcześniej. Jego felietony, od których rozpoczynano lekturę stołecznego

„Expressu” ukazywały się również w Lublinie, w „Expressie Lubelskim i Wołyńskim”. Tak zwany „niedzielny felieton Wiecha” pojawiał się aż do wybuchu wojny w bogato ilustrowanym niedzielnym dodatku zwanym „Ilustracją Świąteczną”.

Dodatek przygotowywany i drukowany był w Warszawie przez spółkę Dom Prasy S.A. przy Marszałkowskiej 8, w tym samym miejscu co... „Express Poranny”, co tłumaczyć należy tym, iż „Express Lubelski i Wołyński” był mutacją swego stołecznego odpowiednika. Nawet czerwona winieta gazety krojem liter przypominała, tę warszawską. Za sprzymierzeniem się lokalnych wydawców z – dziś napisalibyśmy – medialnym koncernem tzw. „prasy czerwonej”, stały względy ekonomiczne. Te zaś przekładały się choćby na kłopoty z dostępem do serwisów informacyjnych.

W tym miejscu czytelnikowi należy się słowo wyjaśnienia. Potoczne określenie „czerwoniak” czy „prasa czerwona” ówczesne tabloidy

zawdzięczały kolorowi szpalt, nie zaś jak można by mylnie sądzić przekonaniom politycznym. Poza wszystkim, choć posługiwały się charakterystycznym, budującym napięcie i budzącym ciekawość sposobem narracji nie były tak agresywne, jak ich dzisiejsze odpowiedniki. Wróćmy jednak do „Expressu Lubelskiego i Wołyńskiego”.

Koniec końców wiadomości agencyjne dla gazety wydawanej przez Franciszka Głowińskiego, a redagowanej przez Wacława Gralewskiego przygotowywano w stolicy, w Lublinie zaś, na drugim piętrze domu przy ul. Kościuszki 8, w dwóch małych pokojkach, kreślono wieści lokalne. Tam właśnie 5 września 1939 roku trafił wraz z rodziną Stefan Wiechecki, o czym pisał w swych wspomnieniach „Piąte przez dziesiąte – wspomnienia warszawskie”.

„Piątego września, ewakuowani z Warszawy z redakcją Kuriera Porannego, przyjechaliśmy po omacku do Lublina. Szliśmy długą ulicą, potem drugą, potem trzecią. Zatrzymaliśmy się w jakimś mieszkaniu na piętrze gdzie właśnie mieściła się redakcja. Na stołach sypialnia. Można tylko leżeć. Znajomych za dużo. Miejsca mało, zwłaszcza że byłem z żoną i małą córeczką. Wyprowadził nas przeto znowu w ciemną lubelską noc i po krótkiej bardzo tym razem wędrówce ulokował w innym, dużym, trzypokojowym, eleganckim mieszkaniu, zupełnie pustym. Ale to wydało nam się znowu jakieś za duże, za puste: bez znajomych. Jednym słowem, żona jednogłośnie uchwaliła, że wracamy do redakcji. Zaczny tubylec zabrał nas z powrotem, ale nie umieścił na nocleg pod redakcyjnymi stołami, tylko w sąsiednim mieszkaniu, należącym do znanego adwokata. Zakwaterowanie odbyło się prawdopodobnie za pomocą włamania, mecenas bawił bowiem z rodziną na lotnisku. Okazało się, że żona miała podwójną rację, przede wszystkim nie czuliśmy się tu tak osamotnieni, a po drugie, w nocy był nalot i mieszkanie, z któregośmy nie skorzystali, poszło w drobny mak razem z całym domem. Dom ten stał na rogu ulicy Kościuszki i Krakowskiego Przedmieścia. Moja małżonka, dowiedziawszy się o tym, oświadczyła sentencjonalnie: - Z tego widać, że w Lublinie nic nam się stać nie może.”

Lublin bombardowany był już od drugiego dnia wojny, ale ulica Kościuszki, przy której nocował Wiech, ucierpiała najmocniej 9 września 1939r. Ledwie kilkadziesiąt metrów

dalej w Zakładzie Fryzjerskim Męsko-Damskim Ostrowskiej mieszczącym się w narożnej kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu 46 z wejściem od ul. Kościuszki 1 zginął lubelski poeta Józef Czechowicz. Jakiś chochlik krzesze z tyłu głowy pytanie, czy to ta sama kamienica, z której zrządzeniem losu uszła cała rodzina Wiecheckich? We wspomnieniach Wiecha, narożną kamienicę Niemcy zbombardowali nocą, zaś według zachowanych przekazów Czechowicz zginął między 9 a 10 rano. Nadto jeśli zawierzyć pamięci warszawskiego felietonisty nalot musiał mieć miejsce z 5 na 6 września. Ale pamięć lubi płać figle i tak też uczyniła tym razem. Bo jeśli byłaby to inna narożna kamienica przy Krakowskim Przedmieściu i Kościuszki, musiałaby mieć tablicę z numerem 44. Ten zaś adres przypisany był wówczas do klasztoru Kapucynów. Nadto ta część miasta stała się celem niemieckich nalotów dopiero 9 września. Jakby na potwierdzenie tych domysłów zachowała się podobna do wspomnień Stefana Wiecheckiego relacja redaktora „Expressu Lubelskiego i Wołyńskiego” Wacława Gralewskiego (domniemywam, choć nie mam pewności, iż to on pomagał ulokować ewakuowanych z Warszawy Wiecheckich), który w „Ognistych kołach” pisał:

„Było to 9 września 1939 r. po gwałtownym bombardowaniu Lublina przez samoloty niemieckie. Nalot zaskoczył wszystkich. A zresztą nie było dokąd uciekać. Nie było schronów i żadnych możliwości ucieczki. Dom, w którym mieściła się redakcja i domy sąsiednie – ocalały. Ale już o trzydzieści metrów dalej narożny budynek tworzył stos gruzów. Właśnie w tym domu była fryzzeria Ostrowskiej.”

Na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Kościuszki, w przedziwny sposób splotły się więc losy dwóch ludzi pióra, dwóch piewców swych miejskich kolebek. Jedni wezmą to za dowód, iż wszystkim rządzi przypadek, inni wręcz przeciwnie. Czechowicz, który ledwie kilka chwil wcześniej dotarł z Warszawy do rodzinnego miasta, wszedł do zakładu fryzjerskiego by się ogolić i umyć, by się ogarnąć przed ludźmi, i tam znalazł swoje przeznaczenie. Wiechecki zaś z dała od domu ocalał, z przekonaniem, iż w mieście, w którym przed chwilą rozminął się ze śmiercią, nic złego zdarzyć mu się nie może.

„I rzeczywiście przeżyliśmy tu kilka jeszcze nalotów. Z tego jeden niezwykle przykry spotkał



nas na dworcu podczas obiadu Wybiegliśmy z budynku do rowów, które były wykopane na ulicy. Ja z talerzem, na którym miałem ledwie napoczętą porcję znakomitej pieczeni z buraczkami. Nie miałem wprost siły go porzucić i podczas największego nawet nasilenia bombardowania przyciskałem talerz mocno do siebie. Gdy samoloty odleciały, żona spojrzała na mnie i osunęła się zemdlna na dno rowu. Twarz moja wyglądała podobno jak jedna wielka rana cięto-szarpana. Na szczęście, były to tylko buraczki.”

#### Wieczory autorskie.

Ów opis wrześnieowych dni w Lublinie odnajduję również w przywołanym tu na wstępie felietonie „Moje lubelskie emocje”. Tym razem jednak autor poszerza go o kolejny dowód na przychylność miasta wobec jego osoby.

„Drugi raz silnych wrażeń doznałem w Lublinie w sześć lat później, już po wyzwoleniu. Jako recytator własnych felietonów brałem udział w jakimś koncercie. Skończyło się późno, restauracje były zamknięte. Gdzieś na bocznej ulicy świeciło się jeszcze w nędznym szynku, słynnym ze świetnej gęsiny i częstych nieporozumień towarzyskich, kończących się z reguły wymianą strzałów rewolwerowych. Takie to były czasy.

Namyślaliśmy się z kolegą, czy wejść, ale głód dodaje odwagi. Weszliśmy postanawiając możliwie błyskawicznie kupić coś na kolację. Przedarliśmy się przez tłum niezwykle podejrzanie wyglądających gości do bufetu. Kiedy restaurator o twarzy zasłużonego kryminalisty pakował nam w gazetę dwie ćwiartki gęsiny, usłyszeliśmy za sobą huk. Kolega porwał gęś, ja rzuciłem na ladę pieniądze i wybiegliśmy bez tchu na ulicę. Pogoniła za nami długa seria z automatu. Ziajani, szczęśliwie dopadliśmy hotelu „Polonia”. Znowu potwierdziła się prawda, że w Lublinie nic złego stać mi się nie może. Zwłaszcza, że następnego dnia dowiedziałem się, że żadnej awantury nie było. Wystrzeliła po prosu butelka lemoniady podgrzewana przez jednego z gości na żelaznym piecyku. A serią z automatu był hurkot zasuniętej, po naszej ucieczce z knajpy, blaszanej żaluzji.”

Przeczytawszy z uśmiechem na ustach ów fragment, szukam w pamięci na mapie mojego miasta hotelu „Polonia”. W żadnym wypadku w grę nie może wchodzić nieistniejący już hotel na Bronowicach. Z pomocą przychodzi „Księga adresowa Polski (wraz z W.M. Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosł i rolnictwa” z 1929r.

Odnajduję w niej Hotel Polonia, własność pani Antoniny Kardasiewicz, przy ul. Powiatowej 5. Niewiele mówiący adres, jeśli nie uwzględnimy, iż w 1934 roku ulicę Powiatową przemianowano na Bolesława Pierackiego, po wojnie na I Armii Wojska Polskiego, a w 2017r. na Żołnierzy Niepodległej. Darmo dziś szukać tam hotelu, a jeśli wierzyć owej księdze, był jednym z dwunastu, jakie czekały przed wybuchem wojny na gości w grodzie nad Bystrzycą. Przy samym Krakowskim Przedmieściu – pięć: Angielski, Europejski, Rzymski, Saski i Victoria. Tuż obok przy ul. Królewskiej 13 funkcjonował Hotel Wiedeński zaś na Placu Łokietka 5 – Centralny.

Zniszczenia wojenne i Polska Ludowa gros z nich zepchnęły w niebyt i niepamięć, nie dziwi więc, iż podczas odwiedzin w Lublinie zdarzało się warszawskiemu felietoniście nocować w prywatnych mieszkaniach. Śladem owych noclegów jest opowieść ze zbioru „Szafa gra” zatytułowana „Dla chrapiących”, w której znajdujemy opis malowniczego buduaru burzącego swym wystrojem (każda ze ścian zdobna była innym malunkiem) spokój snu bohatera.

„W każdym razie usnąć było tam trudno. Zimowe Zakopane przejmowało dreszczem chłodu, na widok letniego czoła pokrywało się kroplami potu. Z tyłu czyhał tygrys. Ale najgorszy był fragment marynistyczny, wywoływał ostre ataki morskiej choroby.”

Kroczyć lubelskimi śladami Wiecha, wertuję ową adresową księgę, by obok hoteli natrafić na adresy lubelskich adwokatów. Jakiś impuls każe mi przebiec wzrokiem po liście niewiele mówiących mi nazwisk. Wśród nich Wacław Bartkowiak. Adres: Kościuszki 1. Ta sama zniszczona od niemieckich bomb narożna kamienica, w której zginął Czechowicz – Krakowskie Przedmieście 46, wejście od Kościuszki 1. Czyżby to właściciel lokalu, do którego włamał się redaktor „Expressu” by przenocować Wiecheckich? Lokalu z którego powrócili do redakcji? (Jeśli uznamy, że owym redaktorem był Gralewski, istnieje pokusa by identyfikować „mecenasa” z Kazimierzem Miernowskim – przyjacielem Czechowicza i Gralewskiego, ale ten mieszkał w kamienicy przy ul. Kościuszki 8).

#### Towarzysko i kulinarnie.

Pozostawiam owo pytanie bez odpowiedzi i sięgam po zbiór felietonów zatytułowany „Szafa gra”, w którym zamieszczono teksty pisane przez

Stefana Wiecheckiego w latach 1953-1954. Skrywa on opowieść o intrygującym tytule „Baba-ryba, czyli o herbach”, dla której pretekstem jest zaproszenie, jakie autor wraz z panem Teosiem Piecykiem otrzymali z okazji piątej rocznicy „Życia lubelskiego”. Sądząc z datowania felietonu zaproszenie dotarło do stolicy w styczniu 1953 roku, co może wskazywać, iż w redakcji niecierpliwie przebiegano nogami czekając jubileuszu, bo też dziennik „Życie lubelskie” stanowiący lokalną mutację „Życia Warszawy” po raz pierwszy ukazał się drukiem 28 marca 1947 roku. Orzekłszy, iż „Szkoda mrugać, trzeba jechać, a także samo laurkie z okolicznościowym napisem wzięść ze sobą musowo” pan Teoś, poczynił stosowne przygotowania zamawiając o znajomego artysty stosowny podarunek. Jednakże efekty pracy przedstawiciela sztuk plastycznych wzbudziły w nim wątpliwości.

„Coś pan tu namalował?” - mówię do malarza. „Kozą na krzywe drzewo skacze i liście z niego wtraja? Chcesz pan mnie z redakcją „Życia Lubelskiego” poróżnić, chcesz pan, żeby cały Lublin się na mnie obraził?”

„W jaki sposób?” - odpowiada mi ten malarz. „To jest właśnie herb miasta Lublina.”

„To niemożliwe. Domowa zwierzyna ze szpicbródką kasztan obgryza? Z kogo pan balona robisz? Do kogo ta mowa?”

Dopiero jak mi przysięgę złożył że widział na własne oczy w Lublinie te kozę, wymalowane na magistracie - uwierzyłem.

„A zresztą - mówi - nie wiadomo, co lepsze czy mleczna zwierzyna domowa z drzewkiem, czy pół kobiety i pół szczupaka z pokrywką w jednej ręce, a z tasakiem w drugiej - to znaczy Syrena,

czyli Baba-ryba, która - jak wiadomo - ma zaszczyt za herb miasta Warszawy się zatrudniać.”

„Faktycznie, może pan masz troszkę racji, ale w każdym razie ta koza może coś niecoś na tak zwaną jeronję wyglądać. Nie ma inszej rady, tylko wal pan w prawem winklu Babe-rybe, czyli Syrenę. Wtenczas nikt nie będzie miał pretensji.”

Jak to namalował - jeszcze gorzej wyszło. Wyglądało tak: rozmamłana blondynka z rybiem ogonem odpędza tasakiem od uschniętego kasztana świeżo wydojone koze. Tylko napisu brakowało: „A pójdziesz od kwiatków!”

Koniec końców wybrali się nasi bohaterowi



Stefan Wiechecki w dorożce - 1960 r. - ze zbiorów NAC.

w podróż do Lublina bez laurki. I choć pan Teoś żył obawą, iż w grodzie nad Bystrzycą z racji „mlecznego zwierzęcia” w herbie „same mleczne bary muszą egzystować”, podjęto ich „świętą kolację” oraz okolicznościowym widowiskiem teatralnym. Inna rzecz, że druga taka okazją trafić się już nie mogła. Zapomniany dziś dziennik dookończył swego żywota 16 marca 1957 nie doczekawszy jubileuszu swego dziesięciolecia.

A że nie same mleczne bary królują w Lublinie, przekonywał sam Stefan Wiechecki w felietonie



„Syrenka i koziołek” zamieszczonym w wydanym wiele lat później zbiorze „Śmiech śmiechem”.

„Tu i tam zamiast syreny widziem koziołeczka ogryzającego drzewko, którego jak wiadomo ma zaszczyt być herbem Lublina. Koziołek wtraja akację z dużym apetytem, tożym napędził Warszawie smaku na lubelską kuchnię, która w jednej z naszych restauracji będzie gości swoją specjalnością przez parę dni przyjmować. Zając i zrazy staropolskie, „forszmaczek w koszyczku” i „prażochy-psiocha” z czarną kaszą. Razem 40 różnych potraw, takich że na same nazwy oko człowiekowi bieleje i ślinę trzeba łykać. Nasze kuchary z kierownikami na czele pod ścianami tylko stoją i uczyć się mają do lubelskich mistrzów, jak się te zrazy zapiekane w bochenku chleba przyrządza i inne dania szykuje.”

W rzeczy samej, w barach, stołówkach i restauracjach Lublina czasów Polski Ludowej królował jako regionalny specjał forszmaczek. Forszmaczek, czyli sycący gulasz z ogórkami kiszonymi, zaprawiony koncentratem pomidorowym i podany w koszyczkach z ciasta naleśnikowego. Mniej znana, choć intrygująca nazwą pozostaje owa „prażochy-psiocha”, czyli formowane łyżką kłuchy z gotowanych na miękko ziemniaków utłuczonych z zaparzoną mąką. Smakował je zapewne piewca warszawskiej gwary nie tylko podczas gościnnych występów lubelskich mistrzów patelni w stolicy, ale i podczas wypadów na spotkania autorskie. Zjawiał się na nich bądź sam, bądź w towarzystwie innych znanych artystów. Jak wspominał w „Pięte przez dziesiąte...” często towarzyszył mu Mieczysław Fogg.

„Tak, bywają ciężkie chwile w życiu występów - i kolacji im zjeść nie dadzą, i potłuc się można. Popularność nieraz więc stawała się dla nas kłopotliwa. Kiedyś na przykład mieliśmy taki wspólny wieczór w kinie „Przodownik” w Lublinie. Ponieważ poprzedzający nasz występ program filmowy jeszcze się nie skończył, nasza publiczność czekała przed wejściem do kina na rzęsiwym deszczu. Nie mogąc się przedostać przez zwarty tłum, zwróciliśmy się o pomoc do pilnującego porządku milicjanta,

- My jesteśmy Fogg i Wiech. Musimy się wcześniej dostać na salę, niech pan nas przepuści. Przedstawiciel władzy nawet na nas nie spojrział, odpowiedział tylko krótko: - Dobra, dobra, zaczekajcie tu, już trzech Foggów i dwóch Wiechów przechodziło.”

Pamięć raz jeszcze płata Wiechowi figla, bo otwarte 25 października 1952 roku kino „Przodownik” mieściło się nie w Lublinie a... w Świdniku. Płata figla, a dzięki temu ja wertuję książki, przeszukuję internet i odkrywam rzeczy nowe, rzeczy mi nieznane. Nawet wtedy, kiedy naiwnie próbuję odnaleźć pochodzącego z Lublina Szyję Trachtmana, właściciela autobusu kursującego na trasie z Warszawy do Mińska Mazowieckiego, bohatera przedwojennego tekstu „Książ tak nie postępuje!” z tomu „Skarby w spodniach”. Na darmo, ale przy okazji odkrywam, iż w 1939 roku funkcjonowały w mieście cztery linie należące do Miejskiej Komunikacji Autobusowej: Cukrownia – cegielnia Helenów, Cukrownia – Sławinek, Brama Krakowska – Rzeźnia miejska, Dziesiąta (cegelnia) – Żandarmeria. Nadto ta sama firma, tuż przed wybuchem wojny obsługiwała jeszcze trzy linie zamiejskie: z Lublina do Wąwolnicy i Nałęczowa, z Lublina do Kazimierza (przez Nałęczów) oraz z Lublina do Piask Luterskich.

#### Zapomniany „Koziołek”

Gdyby nie ów spacer z Wiechem, może nie odkryłbym, iż rozpalala w Lublinie emocje gra liczbowa „Koziołek”. W tomie zatytułowanym „Rodzina Mortusiaków” odnajduję felieton „Od Karolinki do Koniczynki” traktujący o skłonności warszawiaków do gier liczbowych.

„Totolotek i Syrenka — było dla nas za mało i postanowiliśmy obskoczyć wszystkie gry w całej Polsce, Ponieważ że osobiście posiadam w Katowicach ciotkę Kuszpietowskie, gramy za jej pomocą w Karolinkie. A znowuż żona sąsiada Grymaszewskiego pochodzi z Lublina, więc za pośrednictwem jego teścia obstawiamy lubelskiego Koziołka. A znowuż doktor Koziołek z pierwszego piętra, jako krakowiak z dziada pradziada, przez swoich krakowskich kumpli załatwia dla nasz tamtejszego Lejkonika. Teraz jeżeli się rozchodzi o Wrocław, to gramy tam w Liczyrzepkę sto ma biletami przez grzeczność jednego kolejarza, którego dwa razy na tydzień zapycha służbowo nad Odre i Nyse. Koniczynki w Gdańsku załatwiamy przez Centrale Rybne. I szafa gra!”

O grze „Koziołek” mało już kto w Lublinie pamięta, a szkoda, bo u schyłku lat pięćdziesiątych ów lokalny odpowiednik Totolotka cieszył się dużym zainteresowaniem. Piątego dnia maja 1957 roku, w pierwszym losowaniu Lubelskiej Gry Liczbowej „Koziołek” prowadzonej przez Miejski

Komitet Czynów Społecznych nagrody losowano spośród przeszło 36 tysięcy kuponów. Niestety w żadnym spośród nich nie skreślono trafnie 5 spośród 90 cyfr, ale kiedy czytam, iż wylosowano wówczas 47,51,73,74 i 80 wcale mnie to nie dziwi. Wytypowanie 5 cyfr z 90 wydaje się trudniejsze niż trafienie przysłowiowej „szóstki” spośród 49 kul Totolotka, ale taki format obowiązywał wówczas powszechnie w lokalnych grach liczbowych. Z czasem, by zachęcić grających uproszczono zasady upodabniając „Koziołka” do „Totolotka”, co jednak nie pomogło mu przetrwać. Graczy osierocono w 1965 roku, ale nim to nastąpiło z zakupu kuponów zebrano ponoć 7 mln złotych, z których sfinansowano ponoć budowę parku Ludowego, muszli koncertowej, skweru przy Noworybnej czy instalacji daszków na przystankach autobusowych. Domniemywać należy, iż pewien udział miała w tym żona pana Grymaszewskiego, choć zapał grających zderzał się czasem z przeciwnościami losu:

„Największe jednakowoż zmartwienie mamy z temi Koziołkami. Jak już zaznaczyłem, w Lublinie jest gra liczbowa Koziołek, a w Poznaniu są Koziołki, w które zasuwały za pomocą szwagra Wicusia Szparagi, bo On tam pracuje na Targach w charakterze elektryka. Dochodzi do tego jeszcze doktor Koziołek na pierwszym piętrze. Taki mnie sie melanz z tych Koziołków wytworzył, że

często nie wiem, czy doktor Koziołek to gra liczbowa, a poznańskie Koziołki mieszkają u nas na pierwszym piętrze i czy szwagier Wicusia Szparagi to Koziołek lubelski. Czy Liczyrzepka to moja ciotka, a Grymaszewska córka Totolotka. I czy z tego wynika, że kolejarz ma syna Lejkonika.”

Ów mętnik w głowie, który Stefan Wiechecki zwykł zwać bigosem, usprawiedliwia mnogość loterii, które ówczesnie rozmnożyły się między Odrą a Bugiem. Aż strach pomyśleć co by było gdyby, bohaterów felietonu zanęciła śląska „Karolinka”, opolska „Karliczka”, bydgoska „Łuczniczka” czy szczeciński „Gryf”.

Czy odnalazłem wszystkie lubelskie ślady Wiecha? Pewnie nie, a przecież i tak przydługa to opowieść. Szkoda, że podczas owego spaceru po Lublinie nie znalazłem, żadnego namacalnego śladu po „Homerze warszawskiej ulicy”, jak zwał Wiecha Julian Tuwim. Powiecie – dlatego, że warszawskiej. Ale, jaki inny mieszkaniec stolicy pozwoliłby sobie napisać w jakimkolwiek kontekście, iż „Lublin, jak to się mówi ma prawo Warszawy „po zapałki posyłać”? Może czas to nadrobić...?



Stefan Wiechecki w dorożce - 1960 r. - ze zbiorów NAC.





## Ssaki leśne

Tekst - Marcin Polak,  
Zakład Ochrony Przyrody,  
Wydział Biologii i Biotechnologii  
UMCS w Lublinie  
Rysunki - Marek Kołodziejczyk,  
ilustrator dzikiej przyrody,  
[www.marek-kolodziejczyk.pl](http://www.marek-kolodziejczyk.pl)

**C**zy widzieli kiedyś Państwo **lisa rudego** polującego na otwartej przestrzeni na małe ssaki? Jeśli tak – to muszą Państwo przyznać, że wygląda to przezabawnie, gdy taki średniej wielkości drapieżnik wybija się całym ciałem, skacze z miejsca wysoko do góry i spada z impetem na swoją ofiarę. Po chwili powtarza tę czynność z różnym skutkiem. Podczas obserwacji lisa rudego, np. na łące w dolinie rzecznej, polującego za pomocą tej metody, można zauważyć, że osobnik ten jest skupiony i zaaprobowany do tego stopnia, że nie widzi świata wokół. Lis rudy, należący do ssaków drapieżnych z rodziny psowatych, jest naprawdę bardzo sprawnym i elastycznym łowcą, który szybko adaptuje się do lokalnych warunków ekologicznych. Spośród wszystkich rodzimych ssaków drapieżnych, występujących w naszym kraju, trudno znaleźć gatunek, który w ostatnich latach odniósł tak spektakularny sukces i zasiedlił szereg nowych dla

siebie siedlisk. Już chyba nikogo w Polsce nie dziwi obserwacja lisa rudego w centrum miasta (np. podczas wyrzucania śmieci do śmietnika w porze nocnej lub o świcie) albo widok świeżo wykopanej nory w miedzy obok zabudowań na otwartych polach uprawnych pozbawionych większych zadrzewień śródpolnych. Przyczyn tego stanu rzeczy jest wiele. Po części są to naturalne procesy, ale po części mają one również pochodzenie antropogeniczne. Nasz gatunek – człowiek *Homo sapiens* – znany jest od wieków z tego, że nie może wszystkiego pozostawić samopas przyrodzie i za pomocą swojego rozumu musi kontrolować i modyfikować środowisko na swój sposób. Lisy rude są jednym z największych rezerwuarów wścieklizny. Choroba ta jest (a teraz możemy śmiało powiedzieć, że w naszym kraju była...) jednym z najważniejszych czynników ograniczających populację krajową lisa. W Polsce od wielu lat prowadzona jest

akcja szczepienia lisów wolno żyjących przeciwko wściekliznie. Czynniki ten drastycznie obniżył zachorowalność w krajowej populacji. Na zwiększeniu presji drapieżniczej ze strony lisa rudego cierpią krajowe gatunki ptaków, które zakładają gniazda na ziemi, np. czajki. W ostatnich latach gatunek ten zanika i wycofuje się z wielu terenów. Ze względu na wysoki poziom drapieżnictwa corocznie ornitolodzy obserwują niski sukces lęgowy czajki i wielu innych ptaków siewkowych. Czajki zmieniają też swoje preferencje siedliskowe. W ostatnich latach chętniej zakładają gniazda na polach uprawnych, niż na łąkach, gdyż na polach mają lepszą widoczność i mogą skuteczniej uciec przed zbliżającym się drapieżnikiem.

Wiele lat temu pewnego dnia z kolegą kontrolowaliśmy gniazda ptaków szponiastych w okolicach Kielc. Na tym terenie prowadziliśmy szczegółowe obserwacje tej grupy ptaków na powierzchni próbnej. Ptaki szponiaste budują gniazda wysoko w koronach drzew, zazwyczaj kilkanaście metrów nad powierzchnią ziemi. Jakie było nasze zdziwienie, gdy wczesną wiosną usłyszeliśmy z jednego z dużych gniazd głosy zebrzące małych zwierząt. Gdy mój kolega rozpoczął wspinaczkę na wysoka jodłę, z gniazda

wyskoczyła dorosła **kuna leśna (inna nazwa – tumak)**, „fukając” na nas i broniąc swoje młode przed intruzami. W Polsce kuna leśna jest zdecydowanie mniej znana, niż lis rudy. Jest to ssak drapieżny z rodziny łasicowatych. Kuna leśna jest wyraźnie mniejsza od lisa rudego. Jak nazwa wskazuje zasiedla głównie duże kompleksy leśne, lecz można ją spotkać również poza nimi, choć nie tak często jak jej krewniaczkę – kunę domową, która w większym stopniu preferuje środowiska synantropijne. Kuna leśna jest wszystkożerna (czasami można spotkać odchody kun z pestkami lub nasionami różnych gatunków roślin), a poluje głównie o zmierzchu i o świcie. Jeśli w pobliżu naszych miejsc zamieszkania osiedli się kuna, a dużym problemem dla nas jest duża ilość małych ssaków, powinniśmy być zadowoleni, ponieważ są to jej najczęstsze ofiary. Kuna leśna lubi zasiedlać dziuple, gniazda dużych gatunków ptaków (jak we wspomnianym powyżej przypadku) lub innego rodzaju kryjówek i zakamarki.





# Nie bójmy się lasu, nie lekceważmy kleszczy.

O tym czy bać się kleszczy, jak rozpoznać i leczyć boreliozę

rozmawiamy z **dr n. med. Sławomirem Kiciakiem**

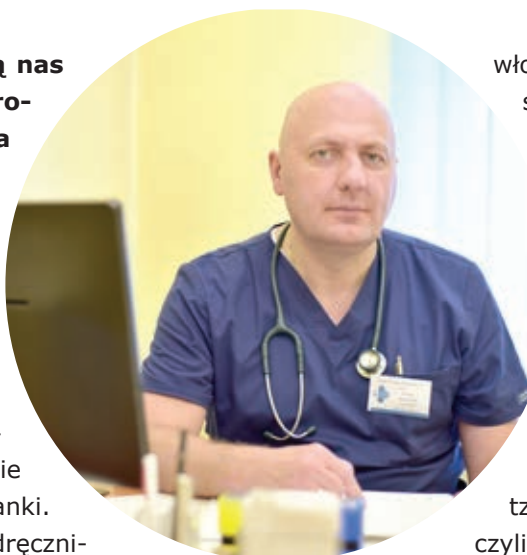
adiunktem Kliniki Chorób Zakaźnych

Uniwersytetu Medycznego w Lublinie.

## ADAM PRZYSTUPA

**Wiosna i lato skłaniają nas by bliżej obcować z przyrodą. Wiele osób odstrasza jednak zagrożenie, jakie niosą ze sobą kleszcze. Mam wrażenie, że kiedyś się o tym aż tak wiele nie mówiło.**

Kiedy zaczynałem swoją medyczną edukację, to w podręcznikach o chorobie z Lyme, czyli boreliozie były tylko pojedyncze wzmianki. W niektórych starszych podręcznikach nic na ten temat nie znajdziemy. Trudno powiedzieć byśmy dziś byli pionierami, ale tak naprawdę boreliozę znamy dopiero od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Przenoszą ją kleszcze i coraz częściej jest wykrywana. Kiedyś po prostu borelioza nie była diagnozowana i leczona. Być może to, co kiedyś rozpoznawano, jako podagrę, zapalenie stawów czy reumatyzm było zapaleniem stawów w przebiegu boreliozy. Natomiast rzeczywiście, dziś wiele słyszymy o boreliozie. Czasem staje się ona sposobem na życie dla niektórych laboratoriów, niektórych lekarzy. Oni z tego żyją. Kiedy słyszę o słono opłacanej diagnostyce, jaka bywa zlecana pacjentom, to



włos, którego nie mam jeży mi się na głowie. Pacjent trafia potem do mnie z plikiem słono opłaconych badań, których nie ma potrzeby wykonywać.

**Jakie są początkowe objawy, które powinny zaniepokoić?**

Borelioza początkowo może być bezobjawowa. Pierwszym objawem jest tzw. skórna postać boreliozy czyli rumień wędrujący, który występuje w 40-50% zachorowań.

Pojawia się od 2 do 30 dni od ukąszenia przez kleszcza. Jest dość charakterystyczny, szerzący się obwodowo, raczej nie da się go pomylić z innym rumieniem. Jest to obraz tak typowy, że można zdiagnozować chorobę bez potrzeby wykonywania badań i rozpocząć jej leczenie. Innych objawów może na początku nie być. Objawy stawowe czy neurologiczne mogą się pojawić, ale dopiero po kilku tygodniach. Postać stawowa boreliozy dotyczy typowo dużych stawów – kolana, biodra, kręgosłup, ramiona. Są to bóle z obrzękiem, często niesymetrycznie. Występują też późne postaci skórne, czyli pseudochłoniak

boreliozowy czy przewlekłe zanikowe zapalenie skóry. Stosunkowo rzadko występuje postać kardiologiczna, czyli zaburzenia pracy serca pod postacią bloków przedsionkowo-komorowych pierwszego, drugiego, czy trzeciego stopnia. Jest wreszcie postać neurologiczna, która może mieć różne objawy: bóle głowy, zawroty głowy, zaburzenia koncentracji, zaburzenia widzenia, porażenie nerwów czaszkowych, porażenie nerwu strzałkowego i opadanie stopy.

**Brzmi to bardzo poważnie...**

Boreliozy nie można lekceważyć, ale nie można z powodu tej choroby żyć w ciągłym strachu.

**Czy borelioza jest w pełni wyleczalna?**

Możliwe jest pełne wyleczenie. Jeżeli to była borelioza i została zdiagnozowana w miarę wczesnie, do kilku, kilkunastu lat – możliwe jest pełne wyleczenie. Wiadomo, jeżeli to jest ukąszenie sprzed kilkudziesięciu lat, gdy występują już stare, utrwalone zmiany, zniszczone powierzchnie stawowe, antybiotyk tego nie wyleczy, ale zahamuje dalsze pogłębienie choroby. Natomiast świeże przypadki boreliozy są wyleczalne. Moim pacjentom, dla ich gwarancji mówię o stu procentowej wyleczalności.

**Leczenie jest długie?**

Leczymy antybiotykami. Leczenie trwa mniej więcej około 6-8 tygodni. Na ogół lekiem pierwszego rzutu są antybiotyki doustne, drugiego rzutu zaś antybiotyki dożylnie.

**Osoba ukąszona przez kleszcza...**

Nie powinna tego lekceważyć. Brak rumienia o niczym nie świadczy. Jak już mówiłem, występuje on u 40-50% osób zarażonych, a to oznacza jednocześnie, że w 50-60% przypadków mamy do czynienia z zachorowaniem, choć rumień nie wystąpił. Osoba ukąszona przez kleszcza, nawet jeżeli nie ma podstawowych objawów klinicznych po sześciu tygodniach powinna wykonać sobie podstawowy test w kierunku boreliozy, tzw. test ELISA wykonywany w obu klasach przeciwciał (IgM i IgG) i na tej podstawie można ocenić czy doszło do zakażenia.

**Ten test daje stuprocentową pewność?**

Nie. Diagnostyka boreliozy nie jest łatwa. Te testy to etap wykrywania przeciwciał, czyli wykrywamy to, co organizm wytworzył na antygeny, które zostały wprowadzone do organizmu przez kleszcza. Nie jest stuprocentowy, ale daje nam możliwość zorientowania się, co się dzieje. Możemy to potwierdzić kolejnym testem

western blot. Podstawowy test kosztuje w granicach 50 złotych w zakresie obu klas przeciwciał, natomiast ten drugi 120 zł za klasę, czyli mniej więcej razem 240 zł. W tym miejscu mam prośbę, by nie dać nabierać się na komercyjne, niby dokładniejsze testy dodatkowe, szukanie innych antygenów, rozbijanie limfocytów, wykrywanie materiału PCR, bo to nic nie daje. Tak samo, jak nic nie daje badanie kleszcza.

**Czasami słychać taki przekaz....**

Słyszysz się, że ktoś zanieśli kleszcza do zbadania. Ten materiał PCR jest często niemiarodajny, bo to że u kleszcza stwierdzono fragment DNA bakterii Borelii, to wcale nie daje podstawy do stwierdzenia, że ten kleszczy był zakażony.

**A każdy kleszczy jest zakażony?**

Nie, nie każdy kleszczy jest zakażony, ale też nie warto tego lekceważyć.

**Borelioza to choroba zakaźna. Zakażamy się od kleszcza, ale czy przenosi się z człowieka na człowieka?**

Nie. To choroba z grupy chorób zakaźnych niezaraźliwych. Ktoś się zakaża, ale nie zaraża już pozostałych osób. Inną taką chorobą jest np. róża. Czyli zakaża się jedna osoba, ale już dalej tego nie przekazuje, ani parterowi, ani dzieciom. Kobieta ciężarna nie przekazuje boreliozy dziecku.

**Ile jest prawdy w stwierdzeniu, iż w następstwie łagodnej zimy mamy urodzaj kleszczy? Czy to w ogóle ma znaczenie?**

Teoretycznie ma, bo okres żerowania kleszczy to wczesna wiosna – późna jesień. W zimie chowają się w ściółkę, więc jeśli zima jest bardziej sroga populacja jest bardziej przetrzebiona. Kolejnym wrogiem kleszczy są wróble. Być może, dlatego dawniej, kiedy wróbel był u nas bardziej pospolitym ptakiem, z kleszczami nie była takich problemów. Migrację kleszczy wzmagają zwierzęta domowe wypuszczane do lasu. Wracając na nasze posesje przenoszą na grzbiecie owady, które występowały kiedyś jedynie na terenie przejściowym między łąką, polaną a lasem. Dziś są wszędzie. Można je spotkać w środku miast, na trawnikach.

**Czy są jakieś szczególne miejsca, w których spotkanie kleszcza jest bardziej prawdopodobne?**

Ryzyko niesie ze sobą każde wyjście do lasu. Oczywiście większą szansę, że spotkamy kleszcza niesie ze sobą las liściasty. Najważniejsze, by

po każdej wycieczce do lasu się obejrzyć. Trzeba zajrzeć we wszelkie intymne miejsca. Kleszcz spadając na człowieka nie wbija się pikując w dół na chybił trafił. Kleszcz posiada termoreceptory, więc gdy spadnie wędruje i szuka sobie ciepłego, wilgotnego miejsca. Tam gdzie może się spokojnie schować, wbić i żerować. Dlatego po pierwsze należy obejrzyć siebie, po drugie obejrzyć ubranie.

#### Groźne są tylko dorosłe kleszcze?

Mamy trzy formy rozwojowe kleszcza. Jest larwa, jest nimfa i jest postać dorosła. Wszystkie te trzy postacie pasożytują na człowieku i na zwierzętach, i wszystkie trzy przenoszą choroby odkleszczowe. Nimfa ma postać małej czarnej kropki. Wczesne formy rozwojowe chcą szybko rosnąć a przez to są bardziej agresywne żywieniowo. Bardziej atakują niż postacie dorosłe.

#### Jak chronić się przed kleszczami?

Są dostępne wszelkiego rodzaju chemiczne odstraszacze. Należy również pamiętać by chodząc do lasu odpowiednio się ubierać, nie nosić zbyt jaskrawych ubrań, stosować zbyt intensywnych zapachów. To przyciąga kleszcze. Inna rzecz, że kleszcz nie reaguje na każdego człowieka w identyczny sposób. Prowadziłem kiedyś wspólnie z Instytutem Medycyny Wsi terenowe badania, rozmawiałem z leśnikami. Niektórzy pracują po trzydzieści lat i mieli może z jednego kleszcza w życiu, a są tacy, którzy przychodzą i się po prostu otrzepują z tych kleszczy. Pracują w tym samym nadleśnictwie, chodzą po tym samym terenie. Kleszcz nie atakuje każdego, wybiera. Decyduje specyficzny zapach potu, temperatura ciała. Nie jest tak, że na każdego, kto wejdzie do lasu rzuci się chmara kleszczy. Desperat zawsze może się trafić, ale z reguły jak mają do wyboru kilku, to wybiorą tego, który im lepiej pachnie.

#### Czyli nie odwodzimy od wizyt w lesie...

Nie, nie można dać się zastraszyć. Niestety wiele złego w tym względzie robią różnego rodzaju portale internetowe, które straszą, serwują różnego rodzaju pseudo porady, czy fora internetowe gdzie ludzie dzielą się radami, a często są to błędne informacje. Często o boreliozie wypowiadają się różni celebryci. Kiedyś w weekendowym dodatku do poważnego ogólnopolskiego dziennika, pewna pani reżyser opowiadała jak ciężko przechodziła boreliozę. Analizując tę opowieść z medycznego punktu widzenia, można

było wysnuć wnioski, iż to w ogóle nie wyglądało na boreliozę. Niemniej ta pani była utwierdzona w tym, że ma boreliozę i że już z niej wychodzi. Niestety faktem jest nad rozpoznawalność boreliozy. Reklamowane są też pseudo alternatywne metody jej leczenia. Pacjenci są nimi leczeni miesiącami, latami, aż w końcu trafiają do nas z różnymi powikłaniami, często zakażeniami grzybicznymi.

#### Leczyć powinniśmy się u specjalistów...

Jeżeli jest tak potrzeba, tylko u specjalistów. Nie lekceważmy kleszczy, ale za ich sprawą nie rezygnujemy z kontaktu z przyrodą.



dr n. med.

**Sławomir Kiciak**

*Adiunkt Kliniki Chorób Zakaźnych Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, specjalista chorób zakaźnych II stopnia, biegły sądowy, od lat zaangażowany w prowadzenie terapii przeciwwirusowej u chorych z zakażeniami wirusami zapalenia wątroby typu B i C.*



RECENZJA ADAM PRYZSTUPA

## Warto przeczytać

Maciej Rosalak

„Tsunami historii. Jak żywioły przyrody

wpływały na dzieje świata”.

Wydawnictwo Fronda. 2016.

**N**ic nie dzieje się przypadkowo, zawsze jest jakaś przyczyna i konieczność - pisał już przed wiekami Platon. I rzeczywiście...

Jak twierdzą naukowcy cztery i pół miliarda lat temu, tuż po swoich narodzinach Ziemia doznała zderzenia z Theą zwaną też Orfeuszem. Planeta wielkości Marsa uderzyła z siłą, która wyrwała z Ziemi masę skał. Część z nich zamieniła się w rój meteoroidów, inne zaś utworzyły naturalnego satelitę naszej planety, czyli Księżyc. Katastrofa, która mogła unicestwić Ziemię przyniosła bardzo pożądane skutki. Jako się rzekło na nieboskłonie pojawił się Księżyc, który nie tylko zajmuje naszą wyobraźnię, ale i wpływa na ruch wód w morzach i oceanach. Sama Ziemia zaś została nieco „wytracona z równowagi”, czego skutkiem jest odchylenie od pionu jej osi od 22 do 24,5 stopni. Stąd zmienność pór roku, a w dłuższym okresie zmienność klimatu.

W roku 1815 eksplodował położony na wschód od Jawy indonezyjski wulkan Tambora. Odgłos wybuchu słyszano ponoć w promieniu ponad 2000 km, a słup gazów sięgający 44 km rozsiały popioły wulkaniczne na odległość 1300 km. Nie wszystkim popiół opadł na ziemię. To, co zawisło na wiele miesięcy w powietrzu przyćmiło Słońce, obniżając średnią notowanych temperatur o 3-4°C. Kolejny 1816 rok przeszedł więc do historii, jako „rok bez lata”. Rok marnych plonów w Europie i Ameryce Północnej, kiedy setki tysięcy zmarło skutkiem głodu i chorób.

To tylko dwie historie z wielu. Dla innych może oczywiste, ja odkryłem je podczas lektury książki Marka Rosalaka „Tsunami historii. Jak żywioły przyrody wpływały na dzieje świata”. Na przeszło 400 stronach z pasją erudyty autor snuje opowieści o związkach sił natury z dziejami człowieka. O historiach, w których wbrew naszym zamysłom prawdziwym narratorem zdarzeń jest przyroda.

Są wśród nich te znane z lekcji historii, jak ta o rosyjskiej zimie krzyżującej plany Napoleona, o Krzyżakach prażących się w lipcowym słońcu pod Grunwaldem, o kamikaze – boskim wietrze, który w 1281 roku ochronił Japonię rozpędzając inwazyjną flotę Mongołów. Są również te mniej oczywiste – o znanej z Księgi Ósmej „Pana Tadeusza” wielkiej komecie roku 1811; o bitwie na Polach Katalaunijskich, o której przebiegu zdecydował udział około 105 tysięcy koni; o klęsce wygłodniałej pruskiej piechoty żywiącej się niedojrzałymi winogronami, której szeregi w 1792 roku pod Valmy przetrzebiła dezenteria; o rzezi na bagnach Ramree, gdzie nocą 19 lutego 1945 ofiarą krokodyli różańcowych padło kilkuset japońskich żołnierzy.

Zamieszczone opowieści uczą pokory. Nie wyzbył się jej, co często zdarza się piszącym, sam autor. Bo choć natura bywa nieobliczalna, jej poczynaniom towarzyszą często błędy ludzi. Rosalak nie feruje ostatecznych wyroków, nie daje jednoznacznych odpowiedzi. Zresztą, czasem jak w przypadku winogron spod Valmy, przyroda jest tylko współsprawcą zdarzeń.

Gwoli sprawiedliwości, to nie jedyna pozycja książkowa traktująca o wpływie żywiołów na losy świata. Ta wszakże zda mi się najbardziej godną polecenia nie tylko za sprawą stylu autora i poczytnej konwencji gawędy, ale również z uwagi na nasze rodzime przykłady zmagania z naturą. Choć pół żartem, pół serio wyznam z wyrzutem, iż na przytaczanej przez autora liście odnotowanych w Polsce trzęsień ziemi, nie odnalazłem tych, które będąc pacholeciem zapisałem w pamięci...



FOTOGRAFIA EMIL ZIĘBA

# ŚWIAT MIKRO



FOTO: kleszcz

## Mikroskopia elektronowa – co to takiego?

Może na początek trochę historii. Pierwsze mikroskopy były mikroskopami optycznymi, w których do oświetlania obserwowanych obiektów wykorzystywano światło dzienne. Za twórców tego rodzaju mikroskopów uważa się Holendrów, Zachariasza Janssena i jego ojca Hansa. Pierwsze konstrukcje wykonali oni około roku 1590. Ze względu na niewielkie powiększenie (10 razy) mikroskopy nie zdobyły wtedy uznania jako narzędzie badawcze. Przełomu dokonał wynalazca i przedsiębiorca Antoni van Leeuwenhoek, który udoskonalił konstrukcję mikroskopu, a następnie rozwinął produkcję tych urządzeń w XVII wieku. Leeuwenhoek jako pierwszy obserwował żywe komórki – pierwotniaki, erytrocyty itp. Wykorzystanie mikroskopu przyczyniło się do ogromnego postępu w biologii. Naukowcy mogli badać, co dzieje się we wnętrzu żywych organizmów. Powstały nowe dziedziny nauki, cytologia oraz mikrobiologia. Dzięki wykorzystaniu mikroskopu możliwy był ogromny postęp w leczeniu chorób zakaźnych. W roku 1882 Robert Koch odkrył z pomocą mikroskopu bakterie gruźlicy. Kolejnym przełomem stało się wykorzystanie w mikroskopie elektronów. W roku 1931 pierwszy mikroskop elektronowy skonstruowali Ernst Ruska i Maks Knoll w Berlinie. Możliwa stała się obserwacja



FOTO: zapylenie gorczycy

najmniejszych struktur organelli komórkowych. W technologii wykorzystanie mikroskopów elektronowych stało się podstawą rewolucji krzemowej. Bez technik sprawdzania jakości wykonywanych w półprzewodnikach struktur nie udało się dokonać tak ogromnego postępu w tej dziedzinie. Od 80 lat ta metoda jest rozwijana, co prowadzi do coraz doskonalszych urządzeń, pozwalających na większe powiększenia. Od początku istniały dwa rodzaje mikroskopów elektronowych, mikroskopy transmisyjne (TEM) i mikroskopy skaningowe (SEM). Różnica między nimi polega, w dużym uproszczeniu, na sposobie obrazowania. Mikroskopy transmisyjne prześwietlają bardzo cienki plaster badanego preparatu (grubość rzędu 10-20 mikrometrów), co pozwala pokazać wewnętrzną budowę. Mikroskopy skaningowe obrazują powierzchnię preparatów. Nie trzeba ich ciąć, można oglądać m.in. całe owady. Obydwa typy mikroskopów pozwalają na powiększenia rzędu 1 miliona razy, przy czym w mikroskopach transmisyjnych można nawet zaobserwować pojedyncze atomy. Mając zamontowane specjalne detektory możemy także wykonać analizę chemiczną naszych próbek z mikroskopijnych ich obszarów. Zdjęcia wykonane tymi mikroskopami są czarno-białe, ponieważ elektrony to nie światło i nie da się ich rozłożyć na kolory.

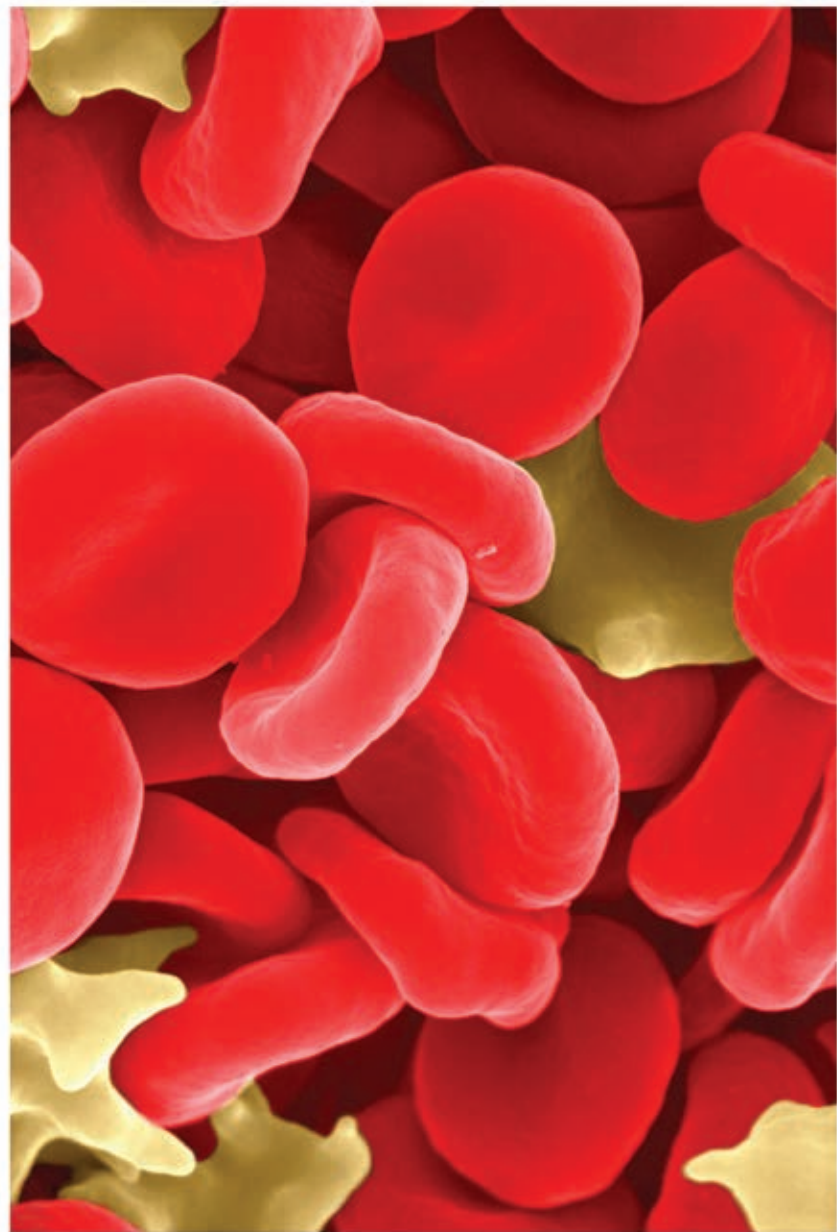


FOTO: krwinki czerwone i białe szczura

#### **Gdzie można zobaczyć Pana fotografie?**

Regularnie prezentuję swoje mikrofotografie na wystawach w Lublinie, a to w ramach Lubelskiego Festiwalu Nauki, a to w galeriach, a nawet pokazywałem je w zeszłym roku w dworcu w lubelskim ogrodzie botanicznym. Na wystawach pokazuję fotografie, które zbierałem od kilku lat przy okazji różnych badań, zarówno własnych i katedr KUL jak i we współpracy z UMCS, UP, UM w Lublinie, uczelniami z Polski, firmami, a nawet Prokuraturą. Przy okazji takich badań zawsze, kiedy widzę ciekawy obiekt, fotografuję go specjalnie pod kątem późniejszej prezentacji na wystawach. Zdjęcia przenoszę do oprogramowania graficznego i wykorzystując tablet graficzny i piórko koloruję je. Kolory, jakie można zobaczyć na moich pracach, rzadko odpowiadają prawdziwym. Mikroświat kolorystycznie nie jest aż tak złożony, a czasem, zwłaszcza przy bardzo dużych powiększeniach, tak naprawdę nie wiadomo, jaki kolor ma dany obiekt. Podczas barwienia kieruję się własną wizją, jak i chęcią uwypuklenia pewnych widocznych elementów struktury.



FOTO: głowa muszki owocowej

#### **Prowadzi Pan również Koło Fotograficzne na Poczekajce. Skąd pomysł?**

Od trzech lat, dzięki uprzejmości ojców kapucynów, a w szczególności ojca proboszcza, prowadzę w mojej parafii Koło Fotograficzne. Od wielu lat interesuję się i zajmuję się fotografią, a także jej propagowaniem. Dlatego też pomysł, by w naszej parafii stworzyć grupę ludzi interesujących się tą dziedziną.

Przez te cztery lata z grupą zapaleńców stworzyliśmy galerię, odwiedziliśmy wiele wystaw, obejrzeliliśmy tysiące zdjęć wielkich fotografów, a także drugie tyle swoich własnych. Obejrzeliliśmy także wiele filmów o fotografach i fotografii, a także takich, w których są piękne zdjęcia. Byliśmy na kilku plenerach fotograficznych, w tym ostatnio w Bieszczadach. Członkami Koła są osoby w każdym wieku, najmłodszy ma 15 lat, najstarszy już ponad 80. Łączy nas ta sama pasja – fotografia. Spotykamy się w każdy wtorek o godzinie 18 w sali konferencyjnej. Serdecznie do nas zapraszamy.



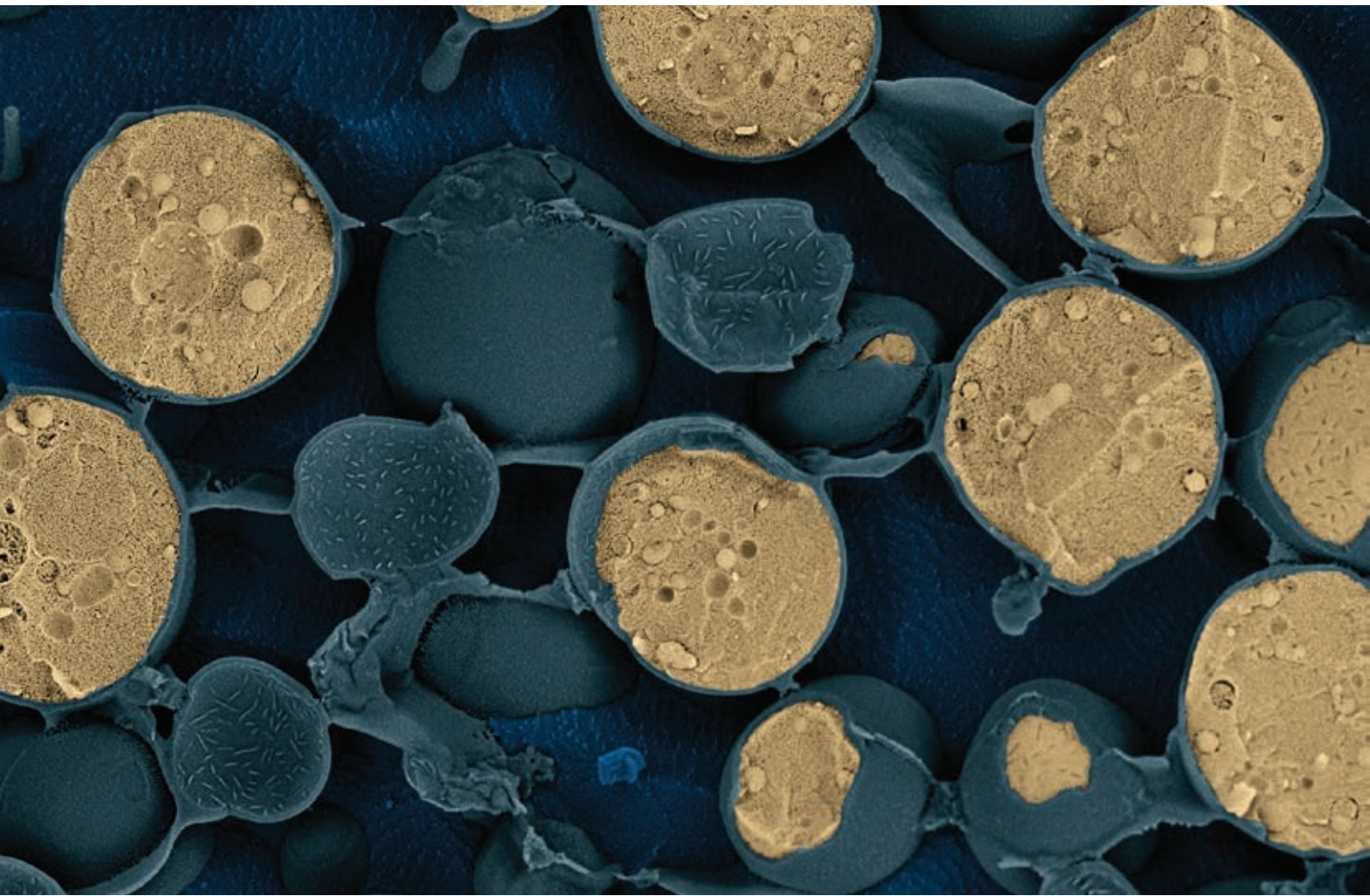


FOTO: drożdże

## Emil Zięba „Dzemski”

20 lat temu rozpoczął wspaniałą przygodę z mikroskopią elektro-nową. Kończąc studia nawet nie marzył, by pracować na uniwersytecie, ale udało się i to od razu w laboratorium z tak rzadką aparaturą. Pracuje w Laboratorium Mikroskopii Konfokalnej i Elektronowej ICBN Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.

„Chciałbym czasem znaleźć się w takim miejscu, gdzie Bóg czeka tylko, aby komuś otworzyć migawkę” – to słowa Anselma Adamsa, jednego z największych fotografików. Mam to szczęście, że od prawie 20 lat Bóg otwiera dla mnie migawkę i pokazuje jak pięknie stworzył ten świat.

[www.dzemski.pl](http://www.dzemski.pl)



Irena Kwiatkowska - 1969 r. - ze zbiorów NAC.



ADAM PRZYSTUPA

## Ławeczka

Ustka jeszcze się do snu nie kładzie  
Gubi błądź w słońca promieniach  
Jest ławeczka tuż przy promenadzie  
Tam usiadła pani Irena

Skąd ten uśmiech...? może wspomina  
Strofy z myślą o niej pisane  
Gałczyńskiego albo Tuwima  
Może w ciszy zmawia różaniec

Splotła dłonie swe na kolanach  
Ktoś poznawszy ją szepcze z przejęciem  
Nie odmówi zakłopotana  
Gdy przysiądą by zrobić zdjęcie

Czasem stopy zmęczone przywiodą  
Duszę bratnią albo siostrzaną  
I zawieszą wzrok ponad wodą  
I pomilczą nim się rozstaną

Cicho westchnie nim z ławki wstanie  
Czule dłonie jej dotknie ręką  
Pośle uśmiech na pożegnanie  
Słów nie staje, pani Irenko

*Ustka, 23 – 25 lipca 2015 r.*



# O słowach co tulily się do melodii.

ADAM PRYZSTUPA

Siedząc za kierownicą auta odruchowo uruchomiłem odtwarzacz. Nawet nie pamiętałem, jaką płytę przesłuchiwałem dzień wcześniej wracając do domu. Po chwili w ciszy sobotniego poranka dał się słyszeć niski, znaczący wpływem lat głos Johnny Casha. „I Dreamed About Mama Last Night”. Siedemdziesięcioletek śpiewał o mamie czekającej powrotu swych dzieci z sobotniej zabawy, nasłuchującej w ciszy

śpiewa o sobie, o swojej mamie, o pozostawionym przez nią zapalonym świetle i o tym, że zrozumienie matczynej troski przychodzi z wiekiem, z własnym doświadczeniem.

Zrządzenie losu. Był dwudziesty szósty maja. Dzień matki. Hank Williams kochał swoją mamę, ba niektórzy mówią, że był od niej uzależniony, że gdyby nie ona nie zrobiłby kariery. Pół żartem, pół serio wyznał kiedyś, iż „w razie bójki



FOTO: za zgodą Magic Records / Universal Music.

nocy dźwięku klucza obracającego się w zamku u drzwi. I choć piosenkę skreślił przed laty Fred Rose dla Hanka Williamsa zdało się, iż Cash

nikogo nie chciałbym mieć u swego boku, tylko mamusię z obtłuczoną butelką w ręce”.

Ruszyłem w kierunku kwiatarni

słuchając wydanej w 2001 roku płyty zatytułowanej „Timeless. Hank Williams Tribute”. Dwanaście utworów śpiewanych przed laty przez samouka, który ofiarował publiczności kilkadziesiąt przebojów i sprzedał ponad 11 milionów płyt. Dwanaście piosenek zaaranżowanych na nowo przez współczesnych muzyków, których uwiodła legenda „Szekspira hillbilly”. Kim był Wiliam Szekspir, tłumaczyć chyba nie trzeba. A kogo określano mianem „hillbilly”? Nie ma co ukrywać, że w ustach mieszkańców wielkich miast amerykańskiego Wschodniego Wybrzeża to określenie pogardliwe. Łatka przyklejana do tych, którzy wywodzą się z wiejskich i górzystych okolic położonych w Appalachach. Synonim takich słów jak zacofany czy nieokrzesany.

Jaki był Hank? Urodził się 17 kwietnia 1923 roku w małej miejscowości Mount Olive w Alabamie. Edukację szkolną zakończył w wieku lat czternastu, muzycznie kształcił się na ulicy pobierając lekcje u ulicznego pucybuta i śpiewaka Rufusa Payna zwanego „Tee Tot”. Pewnie on nauczył go podstaw bluesa i niezbędnej na ulicy umiejętności przykuwania uwagi przechodniów. Hank dodał do tego niezwykle, zważywszy na braki w edukacji, wycucie języka. Do dziś, choć od czasów, gdy tworzył minęło już blisko siedemdziesiąt lat, powtarza się opinię, iż nie było nikogo, kto potrafiłby zrobić lepszy użytek z podstawowego zasobu słów w języku angielskim. Zwarte i miękkie zarazem frazy podszyte były nutką romantyzmu. Wzruszały, lecz nie były ckliwe. Poza wszystkim były, jak kiedyś zauważył Korneliusz Pacuda, „organicznie spójne” z towarzyszącą im muzyką.

Nie bez powodu Elvis Presley nazwał „I’m So Lonesome I Could Cry” prawdopodobnie najsmutniejszą piosenką, jaką kiedykolwiek słyszał. Piosenką, dodam od siebie, opartą w warstwie tekstowej na prostych środkach wyrazu, a jednak w sekretny sposób uwodzącą słuchacza:

„Widziałeś jak łka drozd  
Gdy liście zaczynają obumierać  
To znak, że stracił chęć do życia  
Jestem tak samotny, że mógłbym  
zapłakać”

Bob Dylan pisał w swoich wspomnieniach, że choć będąc dzieckiem nie słyszał śpiewu drozda i nie doświadczył tego, co Hank, jego strofy bez trudu potrafiły rozbudzić wyobraźnię i przywieść do smutku. Na „Timeless” sięgnął po tę piosenkę Keb’ Mo’. Śpiewa ją niżej niż w oryginale, ale z tą samą nieuchwytną, charakterystyczną dla Williamsa łezką w głosie.

Jest wszakże na tej płycie i sam Dylan, otwierając ją piosenką „I Can’t Get You Off Of My Mind”. Rytmiczna melodia niesie ze sobą tekst o źle ulokowanym uczuciu („Myślisz, że to sprytnie skakać z jednego serca na drugie?”) a Bob nadaje jej lekko folkowy charakter wprowadzając brzmienie akordeonu. Jeśli w „I’m So Lonesome I Could Cry” Hank pograżał się w rozpacz, tu kreślił wersy rozpięte od zjadliwej ironii („Wierzysz, że miłość jest ślepa / Więc potrafisz oszukać kolejnego, którego spotkasz”) po zauroczeniu, które nie pozwala wymazać jej z pamięci.

Słuchając piosenek pisanych przez Hanka Williamsa, istnieje oczywiście pokusa by interpretować ich słowa w kontekście życiowych perypetii autora. Wyśpiewane przez Lucindę Williams (zbieżność nazwisk zupełnie przypadkowa) „Cold, Cold Heart” to ślad burzliwego małżeństwa Hanka z Audrey Sheppard:

„Starałem się jak mogłem, abys  
wiedziała, że jesteś moim snem  
Ale ty wciąż boisz się wszystkiego  
co robię, myśląc, że to jakiś szatański plan  
Dręczą cię wspomnienia, sprawiając,  
że nie możemy być razem  
Czemu nie potrafisz pomóc ci się od nich uwolnić,  
roztopić serca lód”

Małżeństwa zakończonego wzajemnymi oskarżeniami i rozwodem. Hank skłonny był obwiniać ją o wiele, ale sam obdarował ją ciężkim brzemieniem. Nie łatwo być żoną alkoholika, a Williams pił od lat szkolnych. Ponoć dokonywał cudów by sięgnąć po alkohol. Nie pomagały próby zamykania go w odosobnieniu przed występem. Zdarzało się, zwłaszcza u kresu, że był tak pijany, że nie mógł śpiewać. Dlaczego pił? Może po części dlatego, że wychowywał się bez ojca,



leczącego traumę pierwszo-wojennych okopów. W pewnym momencie, na pewno zagłuszając przejmujący, nieopuszczający go ból wynikający z wrodzonej i pogłębiającej się wady polegającej na rozszczepieniu kręgosłupa. Za grosz w tym romantyzmu, przypisywanego na siłę późniejszym młodo umierającym idiomom. Hank, można by rzec, jako pierwszy z nich nie dożył trzydziestki. Za grosz fałszywego mitu twórczego samozatrącenia. Brutalny nałóg, bezlitosna choroba. Hank tworzył nie dzięki oparom alkoholu a mimo nich. Choć jak mawiał, kiedy hillbilly śpiewa smutną piosenkę to znaczy, że wie co to smutek.

Za sprawą smutnej piosenki sięgnąłem przed laty po tę płytę. Wiedziałem, że w duecie z gwiazdą country Emmylou Harris śpiewa na niej Mark Knopfler. Wiedziałem też, iż jeśli zdecydował się na udział w tym muzycznym projekcie, z szacunkiem obejdzie się z wybraną piosenką. I rzeczywiście „Lost On The River” bliskie jest oryginałowi. Mark, rzecz jasna, nie atakuje wzorem Williamsa melodii falsetem, lecz umiejętnie wykorzystuje swoje ograniczone przeciw warunkom głosowe. Jakby mimochodem nuci opowieść mężczyzny, którego ukochana z kim innym stanie na ślubnym kobiercu. „Lost On The River” (i drugi w tym zbiorze duet „Alone And Forsaken”) to przedsmak nagranej pięć lat później wspólnej płyty „All The Roadrunning”. Przedsmak wybrany nieprzypadkowo, bo w 1950 roku na przekór wszystkim Hank nagrał tę piosenkę w duecie ze swoją małżonką, mówiąc zdziwionym współpracownikom, iż trudno mieć żonę, która chce śpiewać, ale to piekło mieć żonę, która chce śpiewać i nie może.

Wbrew temu, co można by sądzić, to nie duet Knopflera z Emmylou Harris zauroczył mnie najbardziej. Nie wiedziałem czego się spodziewać, przeczytawszy, iż opublikowane po śmierci Hanka „Your Cheatin Heart” wykonuje Beck Hansen. A potem... a potem zastygłem zaszuchany w niezwykle delikatną interpretację okraszona łąkami strun i klawiszy. Wracałem do tej piosenki po wielokroć a w głowie leżały się słowa i tuliły do zaszuchanej melodii. Tuliły a ja nawinąć próbowałem przekładu:

Kto serce zwiódł przysporzy łez  
I przyjdzie łkać po nocy kres  
I przyjdzie łkać czekając darmo

## Snu, co utuli w noc głucho czarną

Z rozmysłem zgubiłem owo zwodnicze serce, niczym w lustrze odbijając słowa Williamsa, by zestroić polskie słowa z melodią. I... zostałem z tą pierwszą zwrotką i z owym zauroczeniem. Zauroczeniem, które jak miałem później odkryć dotknęło i innych. Pamiętacie „Tower Of Songs” Leonarda Cohena i owo pytanie o samotność?

„Spytałem Hanka Williamsa jak  
bardzo jest się tu samotnym  
Jeszcze nie odpowiedział  
Ale słyszę jak kaszle całą noc  
O sto pięter nade mną  
W wieży pieśni”

Znacie „The Night Hank Williams Came To Town” z repertuaru wspomnianego już tu Johnny Casha? Jego piosenki śpiewali najwięksi – Louis Armstrong, Dean Martin, Tony Bennet, Elvis Presley czy Ray Charles. W jego duchu tworzył Irlandczyk Bap Kennedy. On sam miałby pewnie do tego duży dystans. Mawiał, iż w istocie komponuje wciąż dwie piosenki – jedną szybko, drugą wolno.

Tych pierwszych na „Timeless” jakby mniej. Wnuk Hanka, noszący imię po dziadku, wykonuje „I’m A Long Gone Daddy”, zaś Tom Petty „You’re Gonna Change (Or I’m Gonna Leave)”. Autorzy płyty zrezygnowali przede wszystkim z napisanej w stylu cajun „Jambalaya”. (W tym miejscu wszyscy, którzy zachodzili w głowę, o kim u licha tu piszę, mogą odetchnąć – to ten facet, który napisał melodię dla Anny Jantar – „Baju baj, baju baj, proszę pana! / Ja nie jestem taka pierwsza lepsza Anna”). Znacznie więcej jest tych nostalgicznych.

Na szczególną uwagę zasługuje wyśpiewany przez Ryana Adamsa „Lovesick Blues”. Tym razem miłosna skarga nie wyszła spod ręki Hanka. Williams sięgnął po napisaną ćwierć wieku wcześniej piosenkę Clifffa Frienda i Irvinga Millsa. Zwykł kończyć nią swoje występy, ale jego muzycy i wspomagający go Fred Rose uważali, że nie zasługuje na nagranie. Próbuąc odwieść Hanka, od nagrania „Lovesick blues” Rose sugerował, iż piosenka nie ma rytmu a podczas śpiewu Williams nienaturalnie przeciąga niektóre nuty. „Gdy jakaś mi się podoba lubię się jej trzymać” miał odpowiedzieć i zdał się na własną

intuicję. „Lovesick blues” wspięła się na szczyt list przebojów i sprawiła, iż w czerwcu 1948 roku zaproszono Williamsa do prestiżowej, nadawanej na żywo, audycji radiowej Grand Ole Opry.

Gwoli sprawiedliwości, choć rozminął się z gustami publiki, Rose doskonale scharakteryzował, ów nietypowy blues chorego z miłości. Hank rzeczywiście łamie rytm piosenki. Jego głos momentami przechodzi w falset a nawet w jodłowanie rzucając wyzwanie każdemu, kto sięga po ten utwór. Sprawdzony patent powtórzył w „Long Gone Lonesome Blues”, z którym na „Timeless” w brawurowy sposób zmierzyła się Sheryl Crow. Miałby z tym pewnie kłopot Keith Richards, ale gitarzyście Rolling Stones przypadła w udziale ballada „You Win Again”. Otrzymaliśmy tedy leniwie snującego się bluesa, któremu udział sekcji dętej nadał istic nowoorleański charakter. Blues o szczególnym charakterze, zważywszy, iż Williams nagrał piosenkę dzień po rozwodzie z Audrey:

„Moje serce nigdy nie dostrzegą  
tego  
Co wiedzieli wszyscy oprócz mnie  
Największym moim grzechem było  
to, że ci zaufałem  
Cóż mogę zrobić, znów wygrałaś  
[...]  
Nie masz serca ni wstydu  
Bierzesz prawdziwą miłość dając  
w zamian poczucie winy  
Myślę, że nie powinienem  
narzekać  
Wciąż cię kocham, znów wygrałaś”

Można by sądzić, że Hank pisał tylko smutne piosenki. Jeśli „Timeless”, podobnie jak w moim przypadku, będzie punktem wyjścia do poznawania jego twórczości, okaże się, że było inaczej. Flirtował w „Hey, Good Lookin’”, krzesał uśmiech w „Move It On Over” - opowieści o mężczyźnie, który wróciwszy do domu, ze względu na swój stan, szuka noclegu w psiej budzie. Dziesięć lat po „Timeless” ukazała się płyta „The Lost Notebooks” z piosenkami napisanymi do tekstów Williamsa, których sam nie zdążył zaśpiewać.

Tekstów odnalezionych po latach w czterech notatnikach, z którymi się nie rozstawał. Tam odnalazłem perełkę, po którą sięgnęła Lucinda Williams „I’m So Happy I Found You”.

„Każdej nocy, gdy kłękam do  
modlitwy  
By dziękować Bogu za twoją  
miłość  
Jestem wdzięczny, że stanęłaś na  
mojej drodze  
Ronie łzy, bo jestem szczęśliwy, że  
cię znalazłem”

Pisał do końca. Zmarł na tylnym siedzeniu samochodu, w drodze na koncert noworoczny. Obok Williamsa leżał niedokończony tekst piosenki. Kiedy do oczekujących na występ publiczności dotarły smutne wieści, zaintonowano „I Saw The Light” - hymn, która po latach traktowany jest, jako ewangelizujący standard gospel. Timeless, czyli ponadczasowy...



FOTO: za zgodą Magic Records / Universal Music.



FELIETON ADAMA PRZYSTUPY

Opowieść czterdziesta pierwsza

FOTO: Redakcja - Wstęgówka karmazynka na drewnianej belce.

# O naśladowaniu

**K**iedy przychodzi mi opowiadać o początkach gospodarowania odpadami sięgam zwykle po przykład pierwotnych nomadów, którzy zapewne początkowo zwykli beztrasko porzucać za sobą resztki spożywanych pokarmów. Owo postępowanie nie miało wówczas wymiaru zagrożenia dla środowiska, a raczej zachowania nader ryzykownego ze względu na zainteresowanie dzikich zwierząt, które zwykły podążać ich śladem. Z czasem, gdy wieczni wędrowcy poczuli się osiedlać, pozostałości biesiad nie tylko wabiły zwierzęta, ale i... niosły ze sobą nieprzyjemny zapach. I właśnie wtedy, któryś z naszych przodków postanowił owe resztki zakopać w ziemi, dając tym samym początek składowaniu odpadów.

Zaryzykuję stwierdzenie, że uczynił to naśladowując zwierzęta. Jeśli tak, zrozumiał to opatrnie. One wszakże zwykły zakopywać to, co mają zamiar jeszcze wykorzystać. Psy zakopują pożywienie, ale i przedmioty, które mają dla nich dużą wartość – gryzaki, piłki czy gumowe zabawki. Człowiek zwykł zakopywać to, co zda mu się zbędne, a że z biegiem czasu zaczął odczuwać potrzebę otaczania się coraz większą ilością rzeczy, coraz więcej ich również wyrzucał. Odpadami wypełniano więc naturalne zagłębienia terenu położone poza granicami siedlisk. Z czasem, jak w starożytnych Atenach, zaczęto spisywać pierwsze przepisy określające zasady wywozu i składowania nieczystości. Oddawano je ziemi na zatracenie, zapewne ku zdziwieniu czworonogów, które człowiek dość szybko udomowił.

A przyroda? Cóż, przyroda od tysięcy lat próbuje jakoś sobie z tym radzić. Stawia do boju różnego rodzaju mikroorganizmy, bakterie, które starają się rozłożyć zakopane w ziemi śmiecie. Póki były to tylko resztki jedzeniowe, swą misję wypełniały skutecznie. Od czasu, gdy człowiek na potęgę zaczął wytwarzać różne przedmioty i opakowania, przychodzi im coraz mocniej się trudzić. Jeśli więc skórka po owocach zwykła rozkładać się po czterech tygodniach, guma do zucia kończy swój żywot po upływie lat pięciu. Powiadają, że butelka PET, w jakiej zwykliśmy kupować napoje, zakopana w ziemi rozłoży się

za 1000 lat. Słucham tego lekko powątpiewając, bo mam w pamięci, iż butelki z politereftalanu etylenu wymyślono w latach siedemdziesiątych XX stulecia.

Wróćmy, wszakże do naszych rozważań o naśladownictwie. Daleko wcześniej nim na horyzoncie współczesnej nauki pojawiło się pojęcie biomimikry, oznaczające dyscyplinę naukową badającą mechanizmy zachodzące w przyrodzie, a następnie adoptującą owe rozwiązania, człowiek instynktownie naśladował naturę. Gdy idzie o postępowanie z odpadami, wprzęgnięto jej siły, by z resztek organicznych wytworzyć nawóz. Adoptowano naturalny proces tlenowego rozkładu kreując kompostowanie, nie z dbałości o samą naturę a z faktu jego użyteczności i dla zaspokojenia własnych potrzeb. Choć może to obrazoburcze, postawmy tezę, iż racjonalne gospodarowanie odpadami najlepiej rozwija się w warunkach niedoboru. Bogate społeczeństwa skłonne są marnotrawić swe dobra i śmieć ponad miarę. Już dawno zapomniano o naprawianiu popsutych przedmiotów czy sprzętów, co niegdyś było czynnością naturalną. Inna sprawa, że wiele z nich z rozmysłem wykonuje się w sposób utrudniający ich naprawę by zmusić do rytuału kolejnych zakupów.

Ale wbrew pozorom, owa rozrzutność to cecha nie tylko przypisana nam, współczesnym. Plemiona Indian zamieszkujące pas Wielkich Równin posiadały umiejętność wykorzystania niemal każdej części upolowanego bizona. Jak zauważa w biografii Siedzącego Byka amerykański historyk Robert M. Utley „Zwierzę to wywierało przemożny wpływ na prowadzoną przez plemię gospodarkę. Jego mięso stanowiło podstawę pożywienia. Ze skóry i futra produkowano odzież, domy, posłanie, wyposażenia i naczynia. Ścięgna dostarczały cięciw i różnego rodzaju wiązań od łączących pokrycia na tipi po nici służące do zszywania ubrań i mokasynów. Kości przybierały kształt różnych narzędzi, przyborów i sprzętów.” Aż korci, by przypisać im miano pierwszych ekologów, ale warto w tym miejscu dopowiedzieć, że choć Indianie zwykli uważać za jadalną każdą część upolowanego zwierzęcia, w rzeczywistości zwykle jadalni jedynie mięso pochodzące



z bizoniego garbu, a czasem ograniczali się do wycinania uchodzących za przysmak ozorów. Wobec mnogości stad bizonów zamieszkujących prairie, gardzono również mięsem byków. Wybierano raczej krowy, często cielne. Jeśli spojrzymy na zwyczaje Indian z plemienia Czarnych Stóp, z dzisiejszego punktu widzenia, mało ekologiczny był sam sposób polowania na te wielkie zwierzęta. Najczęściej zaganiano je do naturalnych zagród tworzonych przez wąwozy, albo wpędzano je w przepaść. Tam zwykle wykorzystywano tylko część zabitych zwierząt. Jedno z takich urwisk, zwane „piskun” o głębokości 12 metrów znajduje się w kanadyjskiej prowincji Alberta. Na jego dnie znajduje się 10 metrowa warstwa bizonich kości. Jednym słowem, Indianie wypracowali umiejętność wykorzystywania każdej części upolowanych zwierząt w okresie ich niedoboru, ale gdy były one dostępne w dużych ilościach cechowała ich znana nam współcześnie rozrzutność i skłonność do marnotrawstwa. Zresztą, przypisywanie im postaw ekologicznych, ma charakter czysto życzeniowy. Trudno, aby pierwotni Indianie, jak i inne ludy pierwotne, mieli świadomość ekologiczną lub nieekologiczną, jeśli w ich świecie wyobrażeniowym, co zauważają antropolodzy, nie ma wyodrębnionego środowiska naturalnego. Nie ma podziału na to, co wytworzone ludzką ręką i to, co dzikie. Przykładamy dzisiejszą miarę do zupełnie innej rzeczywistości.

Zostawmy więc odległy świat północnoamerykańskich prerii by wrócić na stary kontynent, którego mieszkańcy umyślili naśladować naturę przez kompostowanie. Było ono już znane w starożytności, o czym świadczą zapisy w „De Agricultura” - datowanym na ok. 160r. p.n.e. najstarszym zachowanym do dziś dziele pisanym prozą w języku łacińskim. Jego autor Marcus Porcjusz Cato, rzymski polityk zwany również Katonem Starszym podkreślał rolę planowego przygotowania kompostu nie tylko z wykorzystaniem surowców pochodzących z produkcji rolnej (obornik, plewy, łodygi fasoli czy łuski i słoma z łubinu), ale również tego, co dziś klasyfikujemy, jako odpady zielone – liście dębu i ostrokrzewu. W Polsce udokumentowane świadectwa przemysłowego stosowania kompostowania nie mają aż tak długiej tradycji, ale równać się mogą z tymi z oceanu, gdzie za przykład odpowiedzialnego i obywatelskiego podejścia do gospodarowania

odpadami biodegradowalnymi podaje się przydomowy kompostownik wybudowany w Mount Vernon w 1787r. przez przyszłego pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych Geорга Washingtona. Przeszło sto lat wcześniej, w roku 1675r. Jakub Kazimierz Haur w traktacie agromonomicznym „Oekonomika ziemiańska generalna” wskazywał na zyski z nawożenia upraw rolnych. W szerszym, nie tylko rolniczym ujęciu traktował kompostowanie w 1777r. ks. Jan Krzysztof Kluk w pracy „O roślinach, ich utrzymaniu, rozmnożeniu i zażyciu” wskazując na użyteczność odpadów domowych („śmieci izdebne”), odpadów zielonych a nawet odpadów z oczyszczania ulic.

Nie byłbym sobą, gdybym w swej opowieści nie poszedł za tropem owej biomimikry, a raczej samej mimikry, bo jest zjawiskiem zajmującym. Jest mimikra sposobem upodobniania się organizmów bezbronnych do organizmów, które bronić się przed napastnikami potrafią. Bo choć najprostszym i najskuteczniejszym sposobem obrony jest w świecie zwierząt... ucieczka, nie każdego matka natura obdarzyła szybkimi nogami. Jest również mimikra szczególnym przypadkiem mimetyzmu, czyli naśladownictwa.

Z lekcji biologii czy przyrody, z filmów przyrodniczych a może nawet z własnego doświadczenia leśnych spacerów wynieśliśmy wiedzę o zwierzętach, które zwykły upodabniać się do otoczenia. Ot deseń na skrzydłach ćmy upodabniającej ją do kory drzewa, na którym czeka zmierzchu. Mała żabka, którą nie sposób odróżnić od otoczków czy liści wodnych roślin. Jakże logiczna jest sztuka kamuflażu. Jeśli kryjesz się wśród drzew skąpano cię w brązach i zieleni, jeśli pomieszkujesz na stepie brąz łączysz z odcieniami żółci, wśród skał stosowne będą szarości, zaś jeśli zwykłeś odmrażać łapy wśród śniegu gustujesz w szlachetnej bieli. A jest przecież jeszcze wielki wybór plam, cętek czy pręg, tak u drapieznika jak i jego ofiary. Bezradne oko daje się oszukać grze cieni i światła drgających na grzbiecie wielkiego kota stąpającego wśród zarośli. Osobliwie w tym względzie odnajdujemy zebkę, z jej czarno białymi pasami, ale i one nie powstały bez powodu. W falującym, rozgrzanym powietrzu sprawiają, iż zawodzi wzrok niezwykle dokuczliwej i niebezpiecznej muchy tse-tse. A co zrobić, jeśli przyszło nam żyć w wodach Antarktydy, gdzie próżno szukać kryjówki wśród falujących z prądem wody roślin? Kilkanaście gatunków

ryb okoniokształtnych by stać się mniej widocznymi w wodzie „pozbyły się” z krwi hemoglobiny i erytrocytów. Stąd ich nazwa białokrwiste, czy bielinkowate. Tlen czerpany przez duże skrzela rozpuszczony jest w osoczu bezbarwnej krwi.

Nieco na wyrost mistrzem kamuflażu zwany jest kameleon. To prawda, jego barwa odpowiada zazwyczaj barwom otoczenia, w którym zwykły przebywać. Wbrew obiegowej opinii, nie posiadają jednak kameleony umiejętności zmieniania kolorów w zależności od tła, na którym się pojawiają. Zmiany barw służą komunikacji między osobnikami, oraz są wynikiem zmiany temperatury otoczenia. Przy temperaturze około 25°C oblekają się w zieleń, gdy temperatura spada do 10°C szarzeją. Jeśli więc zmiany kolorów niezależne są od zamysłów zwierzęcia nie trudno wyobrazić sobie sytuacji, kiedy owa właściwość może być dla niego kłopotliwa. Naukowcy spierają się zresztą, jaka jest prawdziwa natura tego fascynującego zjawiska. Do niedawna przeważał pogląd, iż jest ono wynikiem przesuwania się pigmentów. Zauważono jednak, iż istnieją zielone kameleony nieposiadające w skórze pigmentu tej barwy. Wyjaśnieniem mogą być odkryte pod warstwą pigmentacyjnych komórek skóry komórki zawierające nano kryształy ułożone na kształt trójkątnej siatki, w której mogą zmieniać się ich odległości. Gdy rosną, kolor odbitego światła zmienia się od niebieskiego, przez zielony, żółty, pomarańczowy aż do czerwonego.

Oprócz czarowania barwami kameleony posiadły także umiejętność zastygania w razie niebezpieczeństwa w bezruchu i udawania liści. Podobnie czynią owady z rzędu straszaków. Swego czasu popularnym „zwierzątkiem domowym” był patyczak rogaty, ale jeszcze większe wrażenie sprawiają jego kuzyni - liścice. Już samym wyglądem przypominają liście a przestraszone potrafią popaść w stan rozkołysania poddając się podmuchom wiatru. Pod dotknięciem opadają bezwładnie na ziemię. Z uschniętym, wyłowionym z wody liściem można pomylić brodaczyka zwanego też liścieniem. Ta nieduża rybka żyjąca w dorzeczu Amazonki, nie tylko wyglądem przypomina zbrazowiały listek, ale wyrzucona na brzeg zastyga w bezruchu i czeka miast jak inne ryby rzucać się na piasku. Do liści upodobnić się można nosząc również trochę więcej ciała. Objęty w Polsce ochroną bąk zwyczajny, ptasze wśród trzciny brodzące, zastyga

zaniepokojony z szyją wyciągniętą pionowo do góry, co w połączeniu z szaro-brązowym upierzeniem w owe trzciny wtopić mu się pozwala. Gdy powieje wiatr, bąk poczyna się kołysać naśladowując ruch trzciny. Co ciekawe, ponieważ brzuszna część ubarwienia lepiej naśladowuje otoczenie, bąk zwykły ustawiać się przodem do napastnika i zmieniać swe ustawienie w zależności od zachowania intruza.

O kamuflażu prawić można by bez końca, bo stosują go zarówno drapieznicy, jak i ich ofiary. Podobnie jest z mimikrą, choć częściej jest domeną słabszych, ale niepozbawionych przebiegłości. Motyl o drobnych, przezroczystych skrzydłach - przeziernik osowiec do tego stopnia upodobnił się do osy, iż dam głowę, iż wielu z nas nie raz dało mu się zwieść trwożnie zastygając na chwilę w bezruchu (to zresztą z naszej strony klasyczna forma kamuflażu). Zamieszkujący kontynent amerykański niejadowity wąż lancetogłów mleczny upodobnił się do bardzo jadowitego węża koralowego. Tak stosowana mimikra zapewnia święty spokój, ale czasem bywa użyteczna w innym celu. Zamieszkujące pustynne tereny Ameryki Północnej czarne chrząszcze z rodziny oleicowatych (*Meloe franciscanus*) zwykły składać jaja wśród traw, w okolicach żerowania pszczoł. W przedziwny sposób tysiące wylęgniętych larw zbija się razem na żdźbłę trawy formując bryłę przypominającą z daleka pszczołę samotnicę. Liczą najwyraźniej na rozkojarzenie uderzającego w konkury trutnia, którego dodatkowo wabią wydzielając substancję przypominającą charakterystyczne dla pszczoł feromony. Zwiedziony i rozczarowany truteń odlatuje z owego żdźbła trawy z uczepionymi do odwłoka larwami. Gdy zbliży się do prawdziwej samicy, przekazuje jej sprytne larwy oleic. Na grzbiecie pszczoły samotnicy powędrują do jej gniazda, gdzie będą się rozwijać posilając się znośnym przez nią kwiatowym pyłkiem. Nie pogardzą też pszczelimi jajami.

Trwa więc, jak w piosence nieodżałowanejgo Jana Kaczmarka „Co się zżera w jeziorze” („Jeziora pozornie są takie spokojne / Gdy lekka pokrywa je falka / Jedynie na niby są takie cudowne / w ich głębi śmiertelna trwa walka”) ciągła rywalizacja, ciągła zabawa w podchody, w której naśladownictwo, a czasem zwykłe oszustwo jest warunkiem przetrwania. Czytałem o gąsienicach pewnych gatunków motyli, które



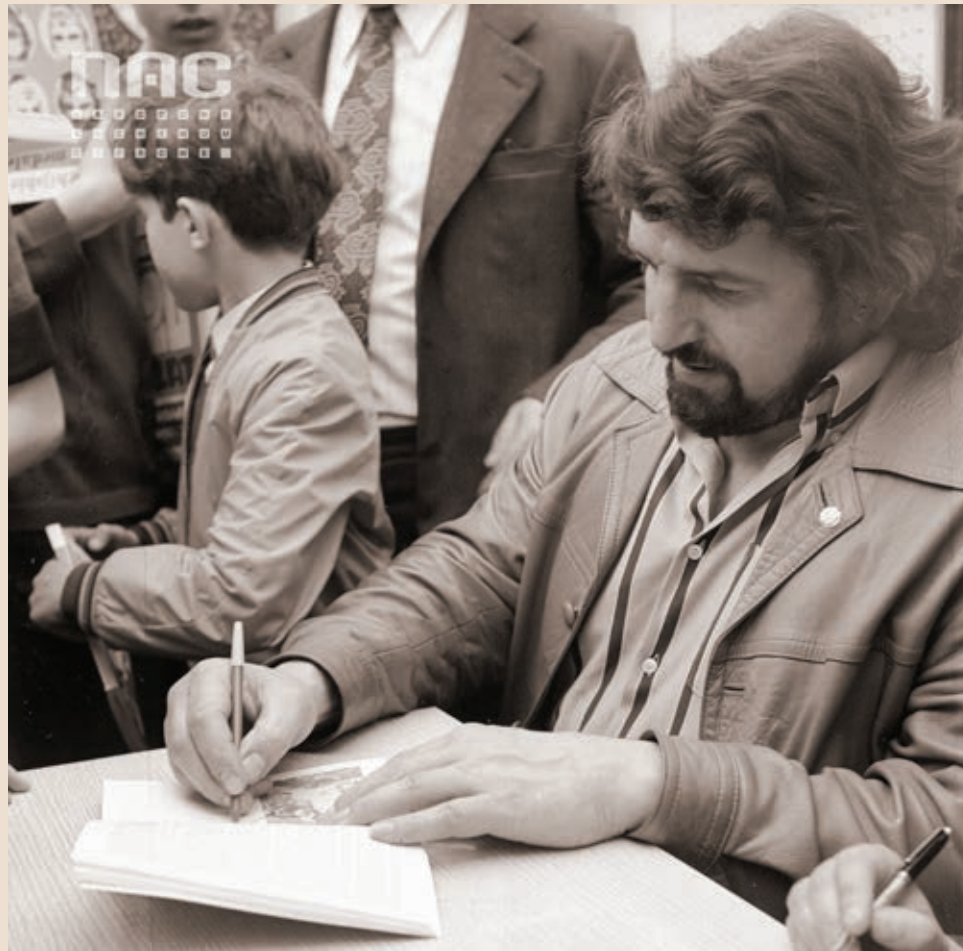
żerując na liściach roślin zwykły obgryzać je z takim kunsztem, iż żerujące ptaki, nie są w stanie ich dostrzec. Okrajają je od zewnętrznej części jego blaszki, tak, iż liść nie traci swego kształtu, choć powoli staje się coraz mniejszy. Podobno gąsienice dbają nawet o zachowanie pozorów ząbkowatego obrysu liścia. Małpki kapucynki, które w razie niebezpieczeństwa ostrzegają się wzajem wydając dźwięk przypominający czkawkę czasami nadużywają tego sygnału. Osobniki słabsze, którym zdecydowanie trudniej dostać się do pożądanego przysmaku po prostu oszukują swych towarzyszy by odwracając ich uwagę pożywić się do syta.

Wszystko to dziwnie znajome, choć przecież nowe. Świat przyrody okazuje się niewyczerpanym źródłem inspiracji. Tyle tylko, że większość tych instynktownych, zwodniczych zachowań niewiele ma wspólnego z naszymi przemyślanymi, intencjonalnymi poczynaniami. Kiedy pisząc ten tekst spoglądałem na zdjęcie łagodnego węża upodobniającego się do swego jadowitego odpowiednika, ich pasiasty deseń powiódł moje myśli ku... Józefowi Jarmule.

Do dziś uchodzi Jarmuła za najbardziej widowiskowo jeżdżącego polskiego zawodnika. Za późno zostałem kibicem speedway. Kiedy pierwszy raz w 1984 roku zawitałem na stadion, ulubieniec świętochłowickich i częstochowskich kibiców już nie jeździł. Ale wcześniej zachwycał brawurą, stylem jazdy, nieustępliwością. Często przegrywał starty, ale potem mijał seryjne rywali rozpędzając się pod samą bandą. Był faworytem widowni i utrapieniem arbitrów. Gazety pisały „Jedź Jarmuła, uciekajmy”. Nie były pisane mu laury zwycięzców, ale powiadają, iż tam gdzie się pojawiał trybuny zapełniały się właśnie dla niego. Byli tacy, którzy je opuszczali, gdy nie zjawiał się na stadionie. Jako się rzekło nie kolekcjonował medali, ale rywale czuli przed nim respekt. Miał na to swój szczególny patent, o którym

na łamach „Tygodnika Żużlowego” w artykule Wojciecha Koerbera („Kiedyś fundował ludziom emocje, dziś brak mu funduszy na życie”) wspominał trener reprezentacji Polski, a wcześniej utytułowany zawodnik Marek Cieślak:

„Niejednokrotnie szedł się przebierać do szatni gości a trzeba wiedzieć, że miał w zwyczaju owijać całe ciało bandażami. Na wypadek karam-



Władysław Komar podpisuje książkę „Monachijskie medale” - 1973 r. - ze zbiorów NAC.

bolu, który, ma się rozumieć, przewidywał z góry. Wszyscy patrzyli, jak Józek wyciąga po kolei te swoje bandaże i zamienia się w mumię. Już wtedy mieli lekko dosyć i niektórych zaczynała chwytac tak zwana sraczka przedstartowa. Pewnego razu punkt kulminacyjny miał jednak dopiero nadejść. Jarmuła w końcu wstał cały sztywny, cały na biało i zapytał: „Ty, jak ty się nazywasz?” – Jestem Proch – odezwał się Bolek Proch, swego czasu medalista IMP, klasowy zawodnik. – Zetrę cię dziś na proch – zagroził Józek, zaglądając mu głęboko w oczy, niczym śmierć. Było wtedy i po Prochu i po całej Polsce Bydgoszcz.”

W podobny sposób, choć bardziej finezyjnie, obszedł się z rywalami na Igrzyskach Olimpijskich

w 1972 roku nasz kulomiot Władysław Komar. Do Monachium nie jechał w roli faworyta. Był aktualnym halowym wicemistrzem Europy, ale lista najlepszych wyników wskazywała, że nie ma prawa wygrać z trójką Amerykanów i dwoma zawodnikami NRD. A przecież były to już jego trzecie igrzyska i być może ostatnia szansa na olimpijski medal. W 1964 roku w Tokio był dziewiąty, cztery lata później w Meksyku zajął szóste miejsce.

Wszystko rozstrzygnęło się jeszcze przed zawodami. Na rozgrzewkę polski miotacz zabrał swoje kule. Wszystkie wyglądały identycznie, ale jedna z nich była lżejsza niż przepisowe 7,26 kg. Pchał właśnie tą najlżejszą, tak, że raz za razem lądowała w okolicach linii wyznaczającej rekord świata (21,78m). To musiało zrobić wrażenie na niczego niepojmujących rywalach. Tymczasem Komar, już w pierwszej konkursowej próbie ustanowił rekord Polski osiągając 21,18m. Zdeprymowani przeciwnicy nie zdołali go pokonać. Faworyt konkurencji Amerykanin George Woods pchnął kulę... 1 centymetr bliżej, Niemcy Hartmut Briesenick i Hans -Peter Gies byli słabsi o 4 centymetry.

A potem, a potem było już tylko olimpijskie podium i łzy w oczach, które dzięki telewizji widział cały świat. Widział, wrzeszczał się, ale nie wiedział o wszystkim. Nie wiedział, że stojący na najwyższym podium w Monachium 32 letni olbrzym z Polski (135 kg wagi, przy 196 cm wzrostu) w czasie wojny stracił swego ojca zabitego w Ginciszkach (administrując majątkiem ukrywał tam m.in. aktora Ludwika Sempolińskiego, pisarza Sergiusza Piaseckiego, zakonnice i wielu Żydów). W 1945 roku jego mama Wanda Jasieńska uciekła z pięcioletnim Władkiem, jego starszą siostrą i jednym tobołkiem z zajętej przez Sowieców Litwy do Polski. Nie miała jak ich wyżywić, trafił więc Władek do domu dziecka sióstr Urszulanek w Otorowie, gdzie przebywał do zakończenia szkoły podstawowej. Po rodzicach odziedziczył posturę i pociąg do sportu. Feliks Stamm widział w nim boksera. Walczył nawet w reprezentacji Polski juniorów, ale przyłgnęła do niego opinia zawodnika o „szklanej szczęce”. Za namową przedwojennego wicemistrza Europy w dziesięcioboju Witolda Gerutto zajął się lekkoatletyką. Gdy przyszły pierwsze i kolejne sukcesy, czerpał z życia tak intensywnie, że przyłgnęło do niego zasłużone miano lekkoducha,

awanturnika i playboya. Niewielu więc liczyło na ten medal. On sam poszedł w tej kwestii o zakład z szefem Polskiego Komitetu Olimpijskiego Włodzimierzem Reczkiem. Gdyby nie zdobył złota, musiałby opłacić koszty związane z przygotowaniem do igrzysk. Stało się inaczej, więc Reczek zgodnie z zakładem serwował mu śniadanie do łóżka (w pierwotnej wersji zakładu miał go znieść na rękach na śniadanie).

Bliższe to wszystko oczywiście grze psychologicznej niż zwodzeniu zmysłów, ale czy nie dzięki zmysłom puszczały wodze wyobraźni, malujemy nią obrazy, piszemy sekwencje zdarzeń, odnajdujemy skojarzeń sploty. Niepostrzeżenie po raz kolejny dałem się ponieść tym ostatnim coraz bardziej oddalając się od tematu naśladownictwa przyrody. A tu czas kończyć. Nic nowego, chciałoby się powiedzieć. Nic nowego, tak jak w przypadku naśladownictwa...



## Adam Przystupa

Autor Felietonów, Dyrektor ds. Środowiska i Relacji Zewnętrznych Kom-Eko, jest wnikliwym, pełnym humoru obserwatorem rzeczywistości.

Kochający życie rodzinne, dużą i małą Ojczyznę, Człowiek o ogromnej kulturze osobistej, miłośnik historii, dobrej literatury i muzyki Knopflera, zaangażowany w działania ekologiczne w Lublinie.

więcej felietonów  
Adama Przystupy  
można przeczytać  
na stronie  
[www.kom-eko.pl/felietony](http://www.kom-eko.pl/felietony)



SPOŚRÓD NUT WYSORTOWANE ADAM PRZYSTUPA

# PCHLI TANIEC ANIOŁA

**B**ywa, że niektóre instrumenty budzą naszą wesołość za sprawą swej nazwy - by wspomnieć tu kobzę, czy też ze względu na wydawane dźwięki - tu od lat palma pierwszeństwa należy się dudom. Tak na marginesie, z uporem godnym lepszej sprawy oba te instrumenty są ze sobą utożsamiane i mylone, choć i brzmia i wyglądają zupełnie inaczej. Ów fakt z kolei niezmiennie budzi wesołość we mnie. Wesołość pomieszana z delikatnym poirytowaniem, ku znudzeniu moich najbliższych. Są jednak instrumenty, które krzeszą na naszych ustach uśmiech zarówno za sprawą przypisanej im nazwy, jak i wyglądu. Bo jakże traktować poważnie coś co rozmiarami przypomina dziecięcą zabawkę i do czego przyłgnęły cztery zda się przez niemowlę mozolnie spojone sylaby. Ukulele.

A jednak. Ktoś kiedyś celnie napisał, iż maleńkie ukulele to uroczy szczeniaczek gitary. A szczeniaków nie da się nie lubić. I ponoć nie sposób grać na

ukulele bez uśmiechu. Na ukulele, które wszakże coś jednak znaczą. W języku jakim zwykli się posługiwać rdzenni mieszkańcy dalekich Hawajów, to ponoć połączenie dwóch wyrazów - „uku” oznaczającego pchłę oraz „lele”, którym określano skakanie. Tak więc ukulele to skacząca pchła, bo tak przezywano na królewskim hawajskim dworze pułkownika Edwarda Wiliama Purvisa. Wpływowo oficer nie tylko usilnie pracował nad osłabieniem władzy ostatniego króla Hawajów Kalākaua na rzecz Brytyjczyków, ale również wykazywał się biegłością w grze na cavaquinho czy machete - instrumentach pochodzących z portugalskiej Madery, w których upatruje się przodków ukulele. Osobiście mam wątpliwość czy rdzenni mieszkańcy Hawajów ochrzczili swój narodowy instrument upamiętniając osobę, która przyczyniła się do upadku rodzimej dynastii. Dla mnie owe pchle skoki, ów pchli taniec oddają biegłość wirtuozów ukulele. Szybkość i precyzję z jaką

ktoś taki jak Jake Shimabukuro lub legendarny Bill Tapia przebiega struny instrumentu.

Ukulele to instrument wdzięczny i delikatny. Nic więc dziwnego, że ostatnimi czasy sięgają po niego kobiety. Mnie uwiódł mariaż jego sopranowego brzmienia z głosem rodem z irlandzkiego hrabstwa Kildare. Tam, na wschodzie szmaragdowej wyspy w niewielkiej wiosce o zabójczo intrygującej nazwie Kill w 1980 roku przyszła na świat Heidi Talbot. Przeciętnemu słuchaczowi jej nazwisko mówi niewiele lub zgoła nic. A jednak warto zatrzymać się na chwilę i sięgnąć po wydaną w lutym 2013 roku płytę zatytułowaną „Angels Without Wings”.

Niebiosa obdarzyły Heidi zagadkowo dwoistym brzmieniem głosu - silnym i delikatnym jednocześnie, ostrym i zarazem kruchym. Miłośnicy folku mawiają, iż słyhać w nim typowo irlandzkie frazowanie, ale ja odnajduję w jej śpiewie transatlantycki mariaż. Jeśli Mark Knopfler zlokalizował

kiedyś źródło swych muzycznych fascynacji u zbiegu Tyne i Missisipi, Talbot mogłaby Tyne toczącą swe wody u pogranicza Szkocji zastąpić rzeką Barrow przepływającą opodal jej rodzinnego siedliska. W tytułowej piosence wiecznie dziewczęcym zda się tonom Heidi nie towarzyszą więc dźwięki dud, ale skrzypiec, ukulele i akordeonu. Wirująca, roztańczo- na opowieść autorstwa Boo Hewerdine'a, do której muzykę ułożył mąż Heidi, multiinstrumentalista John McCusker. Piosenka o aniołach, które wbrew pozorom można spotkać wszędzie...

„...Na ulicach  
i bulwarach  
W pałacach i samot-  
nych barach  
Odnajdziesz je gdzie-  
kolwiek trafisz  
Bezskrzydłe anioły  
...”

Jeszcze chwila, jeszcze jeden obrót w tańcu, do którego rwą się stopy i uchylony nam będzie rąbek tajemnicy...

„...I będę czuwać nad  
tobą  
Bo po to przyszedłam na  
świat  
A wtedy odwzajem-  
nisz moją miłość  
Bezskrzydłego  
anioła...”

Subtelny śpiew Heidi Talbot przyćmiewa jej grę na ukulele. To nie zarzut, bo na płycie, z której pochodzi ta piosenka zaśluchani pozostają w cieniu tacy mistrzowie gitary jak Mark Knopfler czy Jerry Douglas. Cóż, w cieniu śpiewających dziewcząt akompaniujących sobie na małym hawajskim instrumencie pozostawali i inni, by wspomnieć zespół Society Syncopators towarzyszący najbardziej znanej polskiej ukulelistce. Kto dziś pamięta Sugar Kowalczyk? Chyba tylko wielbiciele Marylin Monroe i „Pół żartem, pół serio”. Szkoda. Kiedy dziś wspomina się postacie naszych rodaków kreowane w filmach z Hollywood przytacza się Marlona Brando w roli Stanley Kowalskiego („Tramwaj zwany pożądaniem”), Cinta Eastwooda w roli Walta

Kowalskiego („Gran Torino”), z rzadka Gene Hackmana jak generała Stanisława Sosabowskiego („O jeden most za daleko”). Szkoda, ale cóż. Nikt nie jest doskonały...







# Czysta plaża

ADAM PRYZSTUPA

Mewy. Pierwsze co słyszysz, jeszcze nim uniesiesz ciężką powiekę to ich gaworzenie. Jeśli jesteś typowym wczasowiczem korzystającym z uroków Bałtyku obmywszy lica z resztek snu spoglądasz za okno, by sprawdzić co z pogodą. Ta nad polskim morzem bywa kapryśna, ale choćby skrawek błękitu, choćby okrucieństwo słońca sprawiają, że po śniadaniu rusza w stronę plaży kolorowy korowód. Blisko, coraz bliżej, coraz wyraźniej słychać szum morza. Jeszcze chwila i przyjdzie znuć obuwie by zanurzyć stopy w piachu a zaraz potem szukać wzrokiem białej flagi przy budce ratownika.

Plaża. Żartobliwie zwykłem ją zwać wielką piaskownicą, w której dziatwa odkrywa swe budowlane talenty, dorośli zaś zażywają słonecznych kąpiel. Wielu, jeśli niebo bywa łaskawe, czyni to codziennie próbując do cna wyzyskać każdy dzień urlopu.

Kiedy minąwszy porośnięte uroczym laskiem wydmy stają przed południem u wejścia na zachodnią plażę w Ustce, znajdują ją mocno odmienioną. Mam jeszcze w pamięci wczorajszy wieczorny spacer w towarzystwie mew, które nabrawszy odwagi przeczesywały ją w poszukiwaniu pożywienia. Plaża nie była brudna. Bynajmniej. Spacerujące wśród turystów ptaki musiały się mocno natrudzić by znaleźć coś interesującego. Teraz o poranku byłyby jednak zawiędzone. Wielka piaskownica jest czysta, wygładzona. Znikły wszelkie mozolnie wznoszone

przez kilkuletnie rączki zamczyska, czy uparcie kopane dołki. Rzekłbyś, ktoś pod osłoną nocy, gdy letnicy w objęcia snu się oddali, wycesał plażę olbrzymim grzebieniem.

Z rozmowy z panem Grzegorzem Nosewiczem, prezesem Zakładu Gospodarki Komunalnej w Ustce, wiem, iż tak naprawdę plaży nie sprząta się nocą. Każdego dnia oczyszczanie rozpoczyna się bladym świtem. W lipcu o czwartej rano, w sierpniu - kiedy noc staje się dłuższa - od piątej. O dziewiątej plaża powinna być już czysta.

Plaża w Ustce ma około 4 kilometrów długości. Niemal na pół dzieli ją ujście Słupi do Bałtyki. Stąd zwykło się mówić o plaży zachodniej, bardziej dzikiej, skrytej za lasem porastającym wydmy ciągnącej się aż po betonowe, niedokończone przez Niemców tzw. trzecie molo (w rzeczywistości zarys projektowanego, blisko 1600 metrowego falochronu). Po drugiej stronie portu ciągnie się plaża wschodnia, rzecz można reprezentacyjna. Wzdłuż niej nadmorski bulwar.

Morze zwykło płać różnorakie figle, więc nie sposób powiedzieć jak szeroką wstęgą rozłożyła się ustcka plaża. Dwa lata temu miała blisko 270 metrów, rok wcześniej ledwie 70. Było nie było, to kawał terenu, więc na plażę zachodnią wyrusza świtem ekipa złożona z 4-6 ludzi, na bardziej popularnej, wschodniej pracuje 6-8 osób. Przeczesują teren zbierając odpady.

"Najciekawsze jest to, że na plaży razem z nami wczesnym rankiem zaczynają pracę

ludzie, o których często mówimy „minerzy”. Tak jak poszukiwacze militariów, z wykrywaczami, ze słuchawkami w uszach szukają tego, co może zgubić turysta, czyli pierścionków, łańcuszków, monet.” – obdarza mnie anegdotą prezes Nosewicz – „Z samego rana, co sto metrów plaży człowiek. Wiem, że był czas kiedy każdy z nich miał swój rewir. A ponieważ ludzie bywają z natury zawistni, to chodziło paru takich cwaniaczków, którzy przynosili części rozbitych drobnych łożysk i rzucali w piach. Dostęp do łożysk jest dziś mniejszy więc od dwóch lat tego nie widzę. W latach wcześniejszych jeszcze jak stocznia pracowała całą parą, co rusz ktoś im robił psikusy i wściekli przeczesywali plażę znajdując metalowe kulki.”

Trzy razy w tygodniu, około godziny siódmej po etapie sprzątnięcia ręcznego następuje bronowanie plaży. Brony mają za zadanie wyciągnąć na wierzch śmieci zakopane przez niesfornych wczasowiczów. W przeszłości zdarzało się, iż w piachu zakopywano odpady pochodzące z punktów handlowych. Brona odkrywa śmieci, które trzeba zebrać, ale też równa nawierzchnię plaży oraz napowietrza piasek. Ma on wtedy inny zapach, inną strukturę.

Plaże sprząta się również mechanicznie, przy pomocy oczyszczarki. Niczym kopaczka do ziemniaków zbiera górną warstwę piachu, wgrzyza się mniej więcej 15 cm w głąb by przesiać go później na sicie. Jeśli piasek jest suchy, bywa bardzo skuteczna. Zbiera wszystko łącznie z niedopałkami papierosów.

Właśnie, papierosy. Dziś, coraz mniej ludzi pali na plaży, ale jak wspomina prezes Grzegorz Nosewicz nie zawsze tak było. „Pamiętam, dziecięć, może dwanaście lat temu, we wrześniu jeden z radnych zwrócił uwagę, iż na brzegu morza pojawiła się bardzo duża ilość niedopałków. I rzeczywiście, w pasie pół metra od brzegu, tam gdzie zwykle morze wyrzuca drobne kamyczki czy bursztyny, leżały niedopałki, jakby ktoś wysypał je z popielniczki. Jakieś dwieście metrów od kanału portowego w kierunku wschodnim. Wyglądało to niesamowicie. Wszyscy pytali – co się stało, skąd te papierosy? Ktoś zmiótł je ze statku? I co się okazało? Wtedy nie czyszczono jeszcze plaży w sposób mechaniczny, a ludzie, których sporo wtedy jeszcze paliło, pozbywali się niedopałków zakupując je w piasku. Kiedy przyszył pierwsze sztormy zaczęły je wyplukiwać.”

Niedopałki, choć rzucające się w oczy, mają niewielki udział w zbieranych odpadach. Przeważają opakowania, papierki, woreczki foliowe. Wielu ludzi wciąż przychodzi na plażę ze swoimi posiłkami, a przecież nieustannie, między plażowiczami krąży sprzedawcy, głosząc swą ofertę mniej, lub bardziej melodyjnym zaśpiewem „Paaaluchy gorące, paaaluchy! Gooootowana kukurydza, popcorn!”. Najczęściej do koszy ustawionych na plaży trafiają różnego rodzaju butelki. Po piwie, po wodzie, po sokach. Bywa, że butelki wypełniane są przez dzieci piaskiem, a wtedy często nie nadają się one do recyklingu.

Tych koszy, stoi zwykle na plaży wschodniej około 60 sztuk, na plaży zachodniej – o połowę mniej. Przepelnione kosze są opróżniane są regularnie, a ich zawartość wywożona samochodami w celu dalszego przetworzenia. „Z czterokilometrowego pasa plaży na przestrzeni ostatnich trzech lat w lipcu zbiera się średnio 322 m3 odpadów. W sierpniu, który w ostatnich latach przynosi bardziej kapryśną, moką pogodę, odpadów jest mniej – średnio 247 m3. Mniej ludzi odpoczywa na plaży, a skoro nie biorą kąpiele słonecznych to i nie zostawiają śmieci.” – tłumaczy prezes Zakładu Gospodarki Komunalnej w Ustce – „Jeszcze 5-8 lat temu tych śmieci było 2-3 razy więcej. Potrafiliśmy w ciągu jednego dnia, z jednego zejścia na plażę zabierać 10m3 śmieci dziennie, a tych zejść jest przecież mnóstwo. Jest dużo czystiej, jest dużo lepiej.”

Bezpiecznie stąkam boso po usteckiej plaży. Powoli się zaludnia. Powoli rozrasta się labirynt chroniących przed wiatrem parawanów. Słońce zanęca by znuć ubranie. Przed sprzątającymi plażę, kolejny dzień pracy...



FOTO: Redakcja.



# Opowieść o koniu, który bardzo chciał wygrać olimpiadę.

Przedruk za zgodą „Przeglądu Sportowego”.

Artykuł stanowiący odcinek wspomnień Wojciecha Trojanowskiego „Od Konopackiej do Szewińskiej”, ukazał się „Przeglądzie Sportowym” nr 19 (9816) z 1989 roku.

## WOJCIECH TROJANOWSKI

Gdy przyszła na mnie kolej przy mikrofonie, wygłosiłem historię, która ma charakter bajki, chociaż wszystkie fakty są całkowicie autentyczne. Była to opowieść o koniu, który bardzo chciał zwyciężyć na olimpiadzie.

Tę historię już zamieściłem w mojej książce „Ach, jaka szkoda!”, ale myślę, że ona w tych sportowych wspomnieniach bardzo pasuje. Dopuszczam się zatem (ze wstydem) „samo-plagiatu”.

Były to czasy nerwowych przygotowań przedolimpijskich, podobnie jak to się dzieje zawsze. W dalekim Meksyku największe nadzieje pokładano w ekipie hipicznej i oczy fanatyków sportu zwracały się przede wszystkim ku młodym oficerom kawalerii, wśród których Mariles, Uriza i Valdes, wyróżniali się szczególnie.

### Rozmowa w stajni.

Humberto Mariles – tak, jak wszyscy olimpijscy faworyci – miał jednak swoje kłopoty. Nie mógł się zdecydować, którego konia dosiadzie na olimpijskim parcourse w Londynie. Wydawało mu się, że wszystkie dostępne mu wierzchowce są tylko przeciętnością, za wyjątkiem klaczy Arrete, ale ta znowu – mimo skoczności niezwykłej – sprawiała mu wiele zmartwień nierównością formy i dziwnym uporem. W pewne dni skakała jak marzenie, w inne niespodziewanie

odmawiała posłuszeństwa, wyłamując przed najłatwiejszą przeszkodą. Wtedy na nic nie zdawał się przymus i trzeba było wracać do stajni.

Chociaż to wydaje się bez sensu. Mariles w stosunku do zwierzęcia próbował perswazji. No i kiedyś, po takim nieudanym treningu, został z koniem w stajni, przemawiając do niego z serdecznym żalem. Arrete nasłuchiwała spokojnie, a później zwróciła do niego swoją piękną główkę i długo, długo patrzyła mu prosto w oczy. Mariles doznał dziwnego uczucia, jakby koń chciał mu coś powiedzieć oczami. Zrobił wielki wysiłek, żeby zrozumieć i po chwili już mu się wydawało, że pojmuję, jakie to myśli ta dziwne klacz stara się mu przekazać.

„Drogi Humberto – mówiły oczy – Wiesz doskonale, że czasem mam zły dzień, a wtedy przedłużanie treningu może mi tylko zaszkodzić. To nie ma sensu... Za to jak mam dobry dzień, mogę skakać i skakać bez końca. Zrozum mnie, przecież ja także chcę, żeby wszystko poszło jak najlepiej. A więc proszę cię – nie przeszkadzaj!”

Humberto, przesądny, jak każdy Meksykanin, wrócił do domu w ogromnej rozterce. Może mam bzika – pomyślał – ale nic mi nie pozostaje innego, jak spróbować. Przez kilka dni poddam się woli konia.

No i tak już pozostało. Arrete miała na treningach zapał nadzwyczajny i po prostu zmuszała

jeźdźca do przedłużania ćwiczeń. A czasami, gdy nagle wykazywała ospałość i upór – Humberto tylko cicho sobie wzdychał, klepał klacz po karku i zaraz wracał do stajni...



Na trybunach ogromnego stadionu Wembley zasiadło wtedy 100 000 ludzi, w emocjach czekających na decydującą walkę najlepszych jeźdźców świata.

Ruben Uriza przejechał znakomicie, ot, tyle, że zgarnął 1 i 3/4 karnego punktu. Francuz d'Orgeiz też pojechał świetnie, ale coś tam strącił i też zebrał, aż dziwne – te same 1 i 3/4 punktu.

Ostatni startuje Humberto Mariles, mając przed sobą piekielnie trudne zadanie. Serce wali mu jak młotem i podchodzi do gardła, po prostu z trudem chwyta oddech. Arrete stoi na linii startowej spokojnie,

chrapie tylko cichutko i uszy nastawia. Ale cała jej kasztanowata sierść ściemniała, bo morka była od potu.

Dzwonek startowy... I właśnie wtedy, gdy całą widownię ogarniają namacalne po prostu miazmaty emocji – i Huberto, i Arrete doznają uczucia nagłej ulgi – nareszcie skończyły się okropne chwile oczekiwania i zaczęła się walka.

### Z hukiem waliły się belki.

Parcours był trudny a zawody trwały godzinami. Z hukiem waliły się belki, strącane końskimi kopytami, jeźdźcy zbierali punkty karne garściami. Najlepiej spisali się kolega Marilesa, Uriza i Francuz Jean d'Orgeiz – obaj zaledwie po 6 i ćwierć karnych punktów. Po nich ruszył ze startu Mariles i wszystko szło pięknie, ale jednak Arrete coś tam strąciła i tylnymi kopytami kopnęła w rów z wodą. W sumie – znów 6 i ćwierć punktu.

A więc zaszła konieczność rozgrywki o pierwsze miejsce między najlepszą trójką. Walkę o złoty medal przeprowadzono na parcourse jeszcze trudniejszym, o podwyższonych przeszkodach.

### Kochana, śliczna Arrete.

Ruszają. Wpierw wolno, krótkim galopem. Pa-ta-taj, pa-ta-taj, potem, tuż przed pierwszą przeszkodą – przyspieszenie. Patataj !! Patataj !! Skok – czysto! I znowu to samo – czysto! I znowu. Arrete za każdym razem odwraca głowę, jakby chciała po skoku sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. A przy okazji rzuca wzrokiem w kierunku Humberto. „Tylko proszę cię, nie przeszkadzaj – mówi oczami. – Wiem, co robię, błagam cię, nie przeszkadzaj!” Jeździec przecież zna Arrete i wie, czego z nią robić nie wolno. Więc tylko delikatnym naciskiem łydki, tylko leciutkim dotknięciem wodzy kieruje klacz



na coraz to nową przeszkodę. A potem, w czasie skoku, kładzie się na końskim karku, cały swój kunszt jeździecki wkładając w to tylko, żeby pomóc i żeby „nie przeszkadzać”.

Teraz wysoki mur. Arrete wyciąga się w powietrzu, jak struna – potężny, czysty skok. Później straszliwie trudny triple-bar, na którym obaj przeciwnicy zebrali punkty karne. Arrete frunie wspaniałym łukiem, wysoko nad belkami. Na trybunach zrywają się oklaski, ale nerwowo syk z tysięcy ust ucisza tych, którzy wiwatują przedwcześnie. Ludzie czują, że są świadkami czegoś niezwykłego, że oto przed ich oczami o złoty medal walczy nie tylko jeździec, ale i koń. Mało tego, przecież widzą, że koń w tej współpracy dominuje, że chce wygrać za wszelką cenę!

Koniec parcoursu – płot i szeroki rów z wodą. Arrete, co po hiszpańsku znaczy strzała, zgodnie ze swoim imieniem, pędzi w pełnym kurierze, brzuchem – zdawało by się – po ziemi. Hoooop!! Wysoko, wysoko, daleko! Łąduje dobry metr za rowem... Jeszcze parę sekund i – uff! Nareszcie meta!

Przepiękne zakończenie wspaniałej walki – czysty parcours, złoty medal dla Humberto i dla Arrete... Trybuna wybuchła teraz brawem, jak strzałem z armaty. Daleko po sąsiednich ulicach rozchodzi się echo huraganu oklasków. A tuż za metą Arrete staje dęba, potrząsa grzywą i w powietrzu przebiera kopytami w tej swojej szalonej zwierzęcej radości...

Chwile potem ceremonia olimpijska. Na podium, mając po bokach pokonanych przeciwników, staje Arrete z Marilesem na grzbiecie. Flaga Meksyku wypływa na najwyższy maszt, orkiestra gra hymn ich ojczyzny. Arrete jakby rozumiejąc powagę chwili, uszami nawet nie strzyże i zastęga w bezruchu.

A na zakończenie tour d'honneur – runda honorowa. Arrete ze swym panem defiluje po bieżni, nie galopuje, ale raczej tańczy, raz kopytami bijąc w lewo, raz w prawo. Rzuca łbem, wywija pióropuszem ogona, parska przez szeroko rozwarowane chrapy, całą swoją zwierzęcą duszą pokazując tłumom, jak szalenie, jak niewymownie się cieszy. Potem, na ostateczny znak radości, znowu staje dęba i na tylnych nogach kończy tę rundę triumfu.

Długo, długo brzmiały jeszcze oklaski, nawet wtedy, gdy Humberto Mariles, w paradnym mundurze oficera kawalerii, oprowadza za trybunami

swoją kochaną, śliczną i bardzo zmęczoną Arrete.

Poszedł z nią później do stajni. Głaskał po karku miękkim jak ciepły jedwab i całował w chrapy, miękkie jak ciepły aksamit. A jak nikt nie widział – zaglądał jej w oczy i długo coś szeptał do ucha. O czym ze sobą rozmawiali, Humberto nie powiedział nikomu. No, to przecież ludzie by się śmieli.

Arrete już dawno, nie żyje, ale wdzięczni Meksykanie pochowali ją pod masztem, gdzie powiewa ich flaga u wejścia do budynku, który 20 lat później był Centrum XVII Olimpiady.



## Wojciech Trojanowski

(ur. 25 września 1904 r. w Krakowie, zm. 16 czerwca 1988 r. w Londynie) – legenda polskiego dziennikarstwa. Przed II wojną światową najpopularniejszy sprawozdawca sportowy – pracownik Polskiego Radia i „Przeglądu Sportowego”, po wojnie pracownik BBC i Radia Wolna Europa. Uczestnik wojny 1920 roku, żołnierz września 1939 roku, więzień ołtagu. Lekkoatleta – uczestnik Igrzysk Olimpijskich w Amsterdamie w 1928 roku w biegu 110 m przez płotki, pięciokrotny mistrz Polski i 11-krotny rekordzista Polski.

FOTO: ze zbiorów NAC -1938 r.

## ANEGDOTY ADAM PRYZSTUPA

# Zdarzyło się naprawdę

### Jak po kacze...

Była wiosna roku 2009. W dalekim Pekinie już dawno ucichł gwar towarzyszący ubiegłorocznym Letnim Igrzyskom Olimpijskim, ale w Europie a zwłaszcza w Polsce wciąż można było odczuć oddech Dalekiego Wschodu. Oto na rynku surowców wtórnych jeszcze kilkanaście miesięcy tak dynamicznym i zyskownym panowała zapaść. Mówiono, że to wina spadających cen ropy, które skłaniały by miast sięgać po tworzywa z recyklingu producenci opierali się na pochodnych tej ciekłej kopaliny. Jeszcze inny wskazywali na zatrzymanie przez chłonny dotychczas rynek chiński importu folii i makulatury. Recyklingowy życie zamarało na redach portów w Rotterdamie i Hamburgu, a w Europie poczęły rosnąć zapasy surowców wtórnych. W efekcie, także w Zakładzie Zagospodarowania Odpadów KOM-EKO rosły sterty belek wysortowanych acz nie sprzedawalnych opakowań.

W taki to czas na Zakładzie przy ul. Metalurgicznej zjawił się pewnego dnia pan Leszek. Nie dzwonił z zapytaniem, nie pisał, nie zapowiadał swego przybycia. Po prostu się zjawił by rozwiązać wszelkie problemy. W grubym książkowym kalendarzu, z którym się nie rozstawał nosił adresy odbiorców wszelkich wydawało by się niemożliwych do sprzedania surowców. Co więcej, wyrażał zainteresowanie nawet nietypowymi rodzajami odpadów – ot tak od niechcenia, robiąc wrażenie zawodowca zapytał o wysortowane zużyte płyty kompaktowe. Miał przy tym pan Leszek skłonność do natychmiastowego skracania dystansu – niepostrzeżenie zwracał się do rozmówcy po imieniu. Roztaczał przy tym przed nim całą gamę swych możliwości wynikających z rozlicznych kontaktów - w końcu wedle opowieści z niejednym w branży dzielił stół, z niejedną dzielił łożę.

W przypadku KOM-EKO jego oferta przy dużej dozie sceptycyzmu dyrektora Zakładu mogła być interesująca w przypadku makulatury gazetowej. Pan Leszek z miejsca spojrzął w swoje notatki i zaproponował, iż jest w stanie zorganizować odbiór w przeciągu tygodnia. Pytany o stosowne zezwolenia na zbieranie odpadów, które winien posiadać obiecał, że prześle je mailem jeszcze tego samego dnia.

Minął dzień, drugi, trzeci niezbędne dokumenty nie nadchodziły. Wreszcie po którejs, z kolejnych już, naglających rozmów telefonicznych w KOM-EKO odezwał się sygnał faxu. Lektura przesłanego zezwolenia wyjaśniała opieszałość nadawcy – pan Leszek uprawniony był jedynie do transportu odpadów na zlecenie innych przedsiębiorców. Co więcej urzędnik wydający ów dokument zwracał uwagę, iż nie może on uzyskać zezwolenia na zbieranie odpadów, gdyż zamierzał czynić to na terenie starej podwarszawskiej szklarni. Dyrektorowi Zakładu nie pozostawało nic innego jak poinformować pana Leszka, iż współpraca z nim jest w tej sytuacji niemożliwa. Wydawało się, że to koniec tej historii...

Upłynęło kilka miesięcy, podczas których sytuacja na rynku surowców powoli wracała do normalności, kiedy na Zakładzie Zagospodarowania Odpadów zadzwonił telefon:

- Panie Adasiu – dzwonił pan Zbigniew, kierownik Zakładu Zaplecza Technicznego – zagubił się nam tu na Wojennej jakiś samochód po folię. Już go wysyłamy na Metalurgiczną.

- Panie Zbyszku, ale my nie zamawialiśmy żadnego odbioru – odrzekł zdziwiony dyrektor, by po chwili od słowa do słowa próbować wyjaśniać sytuację.

Okazało się, że zagubiony w drugim końcu miasta kierowca dostał zlecenie z firmy spedycyjnej by zjawić się w Lublinie w KOM-EKO po odbiór transportu folii bezbarwnej. Zlecenie firmie transportowej wystawił przedstawiciel dużego niemieckiego przedsiębiorcy handlującego surowcami wtórnymi. Kiedy wreszcie ów przedstawiciel dodzwonił się do dyrektora Zakładu KOM-EKO ze zdziwieniem przyjął informację, iż KOM-EKO nie przygotowało dla niego żadnego transportu folii, a co więcej KOM-EKO nie jest bynajmniej jednym z wielu oddziałów wielkiego przedsiębiorstwa... pana Leszka. Jak by tego



było mało niemiecka firma zdążyła już za ową folię panu Leszkowi zapłacić.

I na tym pewnie można by wreszcie skończyć tę opowieść... gdyby nie fakt, iż po upływie trzech lat ktoś zapukał do biura dyrektora Zakładu przy Metalurgicznej. Drzwi otwierały się powoli, zza nich zaś wychyliło się niezmiennie uśmiechnięte lico... pana Leszka.

- Dzień dobry panie Adasiu, kawał czasu, chciałbym od pana kupić makulaturę...

### Najlepsze na nalewki.

Wdrażana począwszy od lipca 2013 roku tzw. „reforma śmieciowa” zaowocował m.in. gwałtownym wzrostem ilości odbieranych odpadów zielonych. Tysiące ton trawy i liści stanęło u bram istniejących kompostowni, których ograniczone moce przerobowe nie pozwalały na ich przetworzenie, a wszyscy ci, którzy to widzieli stanęli w zadziwieniu, iż ów pamiętny lipiec aż tak pobudził vegetację.

Ograniczona możliwości przetwórcze kompostowni stanowiły wszakże zawsze przedmiot troski kierujących Zakładem Zagospodarowania Odpadów. Nieustannie szukano rozwiązań, które podniosłyby efektywność tlenowego rozkładu liści i trawy. Był zda się rok 2006, gdy wreszcie natrafiono na informację, iż blisko pięćdziesiąt kilometrów od Lublina znajduje się firma oferująca preparat przyspieszający kompostowanie. Czym prędzej wyruszone w drogę.

Gdy delegacja KOM-EKO przybyła na miejsce okazało się, iż owym cudownym lekiem na niedostatki kompostowania w odkrytych przyzmacach są japońskie mikroorganizmy. Pani, która prezentowała zalety tej technologii zapewniała, iż w kraju kwitnącej wiśni są one powszechnie stosowane w zagospodarowaniu odpadów. W Polsce, wedle jej relacji nikt jeszcze tego nie próbował, ale zachęcające są efekty utylizacji gnojowicy. Więc jeśli powiodło się z gnojowicą, dlaczego nie z liśćmi.

- Owe mikroorganizmy są bardzo inteligentne i bardzo bezpieczne dla środowiska – ciągnęła miła pani – Bardzo bezpieczne. Wiedzą panowie, to zupełnie jak flora bakteryjna naszego przewodu pokarmowego.

Po tych słowach pani odkręciła brązową plastikową butelkę, w której znajdował się preparat z mikroorganizmami i napełniła nim stojącą na biurku szklankę. Bez słowa uniosła ją do ust i wypija zawartość.

- Proszę, możecie panowie spróbować. Doskonale do robienia nalewek. Próbowałam.

Przez chwilę zastygli. Nie skorzystali z propozycji, ale pełni uznania dla poświęcenia rozmówczyni zakupili próbną porcję preparatu. Niestety jego zastosowanie nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Może dawka mikroorganizmów była niewłaściwa, a może we znaki dała im się polska zima. Trudno przesądzić. Po latach pozostało wspomnienie zapachu unoszącego się z beczek, w których w ciepłe, na melasie namnażały się bakterie. Budził nieuzasadnione podejrzenie, iż ktoś próbuje przekonać się czy z tymi nalewkami to rzeczywiście prawda....

## PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA BEATA GROEN



FOTO: z archiwów prywatnych

## Letnia przekąska

### Bardzo zdrowa!

Pomysł zrodził się podczas pracy w ogródku na widok pięknych liści botwinki. Co prawda pierwotna wizja dania była nieco inna, ale wyszły botwinkowe roladki nadziewane szpinakiem, serkiem i kaszą orkiszową.

#### Składniki:

**liście botwiny** (zerwane z łodyżkami)  
**świeży szpinak**  
**czosnek**  
**serek ricotta**  
**ugotowana kasza orkiszowa**  
**sałata, winogrona i plasterki żółtego sera**  
**jako dodatki**  
**dobra oliwa z oliwek**

#### Wykonanie:

Szpinak drobno pokroić, dodać czosnek i sól, krótko poddusić na maśle. Kaszę orkiszową ugotować. Po wystudzeniu składników połączyć szpinak, kaszę i serek ricotta (kaszy nie dajemy zbyt dużo, bazą nadzienia powinien być szpinak). Możliwie duże, zdrowe liście botwinki należy wrzucić do gotującej wody i zblanszować, ale nie dłużej niż 2 min. Zalać zimną wodą i delikatnie wyjmować rozkładając je na papierowym ręczniku. Na każdym położyć porcję farszu, zawijać w roladki tak, aby owinąć je łodyżką. Gotowe ułożyć na liściach różnych sałat, plasterkach żółtego sera, udekorować winogronem, a przed podaniem polać oliwą z oliwek.

**Smacznego!**



	KRĘCI	ŁAPIE	SZCZĘŚCIA	TUP TUP	WIELKI ZWIERZ	DROBNA MONETA		14	POCZĄTEK
	WDÓWCY	5					2		
1	TUMAK				9	ZAMYKANE			
						OD TOPU DO BOMU			
BEZ OBSŁUGI								KOLEGA MUMINKA	
RYBIE	NAD RANEM		PISZE				4		
			IMIĘ						
		12		RODZAJE					13
ZMYŚL						GDZIE TA ...			
GAZ	8								11
		WYŚWIE-TLA			10		6		
					SYMBOL				
IMIĘ		3				KTÓRAŚ-TAM	7		

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----

Pierwsze 10 osób, które prześlą nam e-mailem prawidłowe hasło ułożone z liter z ponumerowanych pól, otrzymają nagrodę.

**EKO GADKA NR 4 - LATO 2018**

bezpłatny kwartalnik

**Wydawca, adres redakcji:**  
KOM-EKO S.A.  
20-424 Lublin, ul. Wojenna 3  
tel. 81 748 86 52  
redakcja@ekogadka.pl  
www.ekogadka.pl

**Redaktor naczelny:**  
Adam Przystupa  
**Wydano w Lublinie**  
dn. 01.08.2018 r.  
**Skład i druk:** ANSZA.pl  
Nakład: 350 egz.

© Wszelkie prawa do opublikowanych tekstów, zdjęć i grafik są zastrzeżone, przedruk tylko za zgodą redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam z zastrzeżeniem art. 36 ust. 4 prawa prasowego. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i zmiany artykułów, nadesłanych tekstów i odmowy ich publikacji. Opublikowane artykuły nie muszą odzwierciedlać poglądów wydawcy i redakcji.



Oferujemy w sprzedaży produkowany przez nas HUMUKOM – organiczny środek poprawiający właściwości gleby. Jest przeznaczony do stosowania na wszystkich glebach do przygotowywania stanowisk pod uprawy polowe roślin rolniczych. HUMUKOM jest źródłem substancji organicznej i składników pokarmowych. Szczególnie polecany jest do stosowania na zdegradowanych gruntach rolniczych, wyczerpanych z potasu, o niskiej zawartości substancji organicznej.

HUMUKOM oferujemy w opakowaniach 7,5 i 3,5 kg netto. To doskonały środek, który przyda się miłośnikom przydomowych ogródków kwiatowych i warzywnych, działek, roślin balkonowych i doniczkowych. Do nabycia w Biurze Obsługi Klienta Kom-Eko w Lublinie, ul. Wojenna 3.



REKLAMA



## FOTOREPORTAŻ

